

TEOLOGICZNY TESTAMENT

Niniejszy tekst jest fragmentem książki Ks. L. Baltera „Eschatologia współczesna dla duszpasterzy i katechetów” Przedruk za pozwoleniem Wydawnictwa Homo Dei.

Artykuł II

Śmierć jako przejście do nowego życia

Podczas celebrowanej podniosłe każdego roku Wigilii Paschalnej diakon wyśpiewuje w tzw. Orędziu Wielkanocnym następujące słowa, które uprzytamniają chrześcijanom treść i sens celebrowanych właśnie obrzędów:

Raduj się, ziemi, opromieniona tak niezmiernym blaskiem, a oświecona jasnością Króla wieków poczuj, że wolna jesteś od mroku, co świat ukrywa! (...) Oto są bowiem święta paschalne, w czasie których zabija się prawdziwego Baranka, a Jego krew poświęca domy wierzących. Jest to ta sama noc, w której niegdyś ojców naszych, synów Izraela, wywiodłeś z Egiptu i przeprowadziłeś przez Morze Czerwone. Jest to zatem ta noc, która światłem ognistego słupa rozproszyła ciemności grzechu, a teraz ta sama noc uwalnia wszystkich wierzących w Chrystusa na całej ziemi od zepsucia pogańskiego życia i od mroku grzechów, do łaski przywraca i gromadzi w społeczności świętych. Tej właśnie nocy Chrystus, skruszywszy więzi śmierci, jak zwycięzca wyszedł z otchłani. (...) Uświęcająca siła tej nocy oddala zbrodnie, z przewin obmywa, przywraca niewinność upadłym, a radość smutnym (...).

Samym sercem chrześcijaństwa jest celebrowana nie tylko raz do roku, ale uobecniata codziennie w każdej ofierze Mszy św. Pascha Chrystusa – Jego przejście ze śmierci do życia, z ciemności grzechu, którym sam się obarczył, do jasności nieba, które udostępnił nam wszystkim. Przez to bowiem Misterium – jak nam przypomina Sobór Watykański II – Chrystus, „umierając, zniweczył naszą śmierć, i zmartwychwstając, przywrócił nam życie” Zaś z przebitego „boku umierającego na krzyżu Chrystusa zrodził się przedziwny sakrament całego Kościoła” (KL 5). Te krótkie stwierdzenia Sobór rozwija szerzej w Konstytucji dogmatycznej o Kościele, w której wyjaśnia, że skoro

„Chrystus wywyższony ponad ziemię wszystkich do siebie pociągnął (por. J 12, 32 gr.), a powstawszy z martwych, Ducha swego Ożywiciela zesłał na uczniów i przez Niego ustanowił Ciało swoje, którym jest Kościół, jako powszechny sakrament zbawienia”, to obiecane ongiś „odnowienie, którego oczekujemy, już się rozpoczęło w Chrystusie (...) i przez Niego trwa w Kościele” To prowadzi logicznie do wniosku, że już przyszedł do nas kres wieków (por. 1 Kor 10, 11), już ustanowione zostało nieodwołalnie odnowienie świata i w pewien rzeczywisty sposób już w doczesności jest ono antycypowane. (...) Złączeni zatem z Chrystusem w Kościele i naznaczeni Duchem Świętym, „który jest zadatkim dziedzictwa naszego” (Ef 1, 14), nazywamy się prawdziwie i jesteśmy synami Bożymi (por. 1 J 3, 1), ale jeszcze nie ukazaliśmy się z Chrystusem w chwale (por. Kol 3, 4), w której będziemy podobni Bogu, ponieważ ujrzymy Go, jako jest (por. 1 J 3, 2). Toteż „póki przebywamy w ciele, tułamy się daleko od Pana” (2 Kor 5, 6) i mając pierwiastki Ducha, we wnętrzu naszym wdychamy (por. Rz 8, 23) i pragniemy być z Chrystusem (por. Flp 1, 23). (...) A ponieważ nie znamy dnia ani godziny, musimy, w myśl upomnienia Pańskiego, czuwać ustawicznie, abyśmy zakończywszy jeden jedyny bieg naszego ziemskiego żywota (por. Hbr 9, 27), zasłużyli wejść razem z Panem na gody weselne i być zaliczeni do błogosławionych (por. Mt 25, 31-46) (KK 48).

Powyższe sugestie liturgiczne i soborowe pozwalają nam ująć urzeczywistniane przez człowieka przejście w śmierci od terażniejszości do wieczności w dwóch zasadniczych punktach, w których zwrócimy kolejno uwagę na śmierć rozumianą najpierw jako (biblijny i nie tylko) „dzień ostateczny” pobytu człowieka na ziemi, a następnie jako na moment bezpośredniego spotkania Chrystusa umęczonego, ukrzyżowanego i uwielbionego zarazem, który wychodzi nam wciąż na spotkanie (paruzja), względnie czeka ustawicznie na nas jak ten dobry, miłosierny ojciec z przypowieści o synu marnotrawnym. On to – na co zwrócił szczególną uwagę Jan Paweł II w encyklice o Bożym Miłosierdziu (*Dives in misericordia*) – nie zwątpił ani przez chwilę, ale czekał cierpliwie na powrót syna, który uśmiercił go za życia, żądając natychmiastowego wykonania testamentu i oddania mu (rzekomo mu należnej) części majątku. Gdy syn marnotrawny „był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go” (Łk 15, 20). Więcej jeszcze: kazał go ubrać w nowe szaty, włożył mu na palec drogocenny pierścień i wyprawił wielką ucztę na jego cześć, obwieszczając wszystkim: „będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten mój syn był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się” (w. 23-24). Starszemu zaś synowi,

który oburzył się taką postawą ojca, wyjaśnił: „Trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się” (w. 32). Zauważmy przy tym, że znów odejście od Ojca, porzucenie Go i zagubienie się w świecie bez Boga zostało tu nazwane przez samego Jezusa „śmiercią”: syn marnotrawny „był umarły”, ale „ożył” na nowo, wracając do domu Ojca.

1. Śmierć jako dzień ostateczny cielesnej obecności człowieka na ziemi

W *Ewangelii Janowej* pojawia się kilkakrotnie „dzień ostateczny”, traktowany na ogół dawniej jako dzień końca świata. Po wyjaśnieniach dotyczących końca świata, który z powodzeniem można i nawet powinno się traktować jako kres życia konkretnego człowieka na tej ziemi, wypada przyjrzeć się bliżej wypowiedziom Jezusa, dotyczącym wprost (jak u św. Jana) lub pośrednio (jak u synoptyków i św. Pawła) „dnia ostatecznego”

W *Ewangelii Janowej* czytamy najpierw dosyć enigmatyczne słowa Jezusa: „Jest wolą Tego, który Mnie posłał, abym ze wszystkiego, co Mi dał, niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym” (J 6, 39), po których pojawia się zaraz następujące wyjaśnienie: „To bowiem jest wolą Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne. A Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym” (w. 40). Tę samą myśl, ale z większym jeszcze naciskiem, Jezus wyraża w kontekście zapowiadanej przez siebie Eucharystii: „Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym” (w. 54). W obu tych wypowiedziach Jezusa podstawą wskrzeszenia danego człowieka w „dniu ostatecznym” jest posiadane przez niego już tutaj, na ziemi, „życie wieczne”, którego treść sam Jezus wyjaśni Apostołom podczas Ostatniej Wieczerzy, kiedy to powie dobitnie: „A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa” (J 17, 3). Godna uwagi jest jednak także nieco wcześniejsza Jego wypowiedź, która wnosi do powyższych przynajmniej dwa nowe elementy: chodzi o słuchanie słów Jezusa oraz o możliwość przejścia ze śmierci do życia z pominięciem sądu. Jezus obwieszcza mianowicie z całą mocą i powagą: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto słucha słowa mego i wierzy w Tego, który Mnie posłał, ma życie wieczne i nie idzie na sąd, lecz ze śmierci przeszedł do życia” (J 5, 24). Ten nowy kontekst, który się tu pojawił, można i trzeba by jeszcze prawdopodobnie poszerzyć o nieco późniejsze słowa Jezusa, stanowią-

ce swoistą jego odwrotność: „Kto gardzi Mną i nie przyjmuje słów moich, ten ma swego sędziego: słowo, które powiedziałem, ono to będzie go sądzić w dniu ostatecznym” (J 12, 48). W obu tych wypowiedziach pojawia się bowiem jako bardzo istotne wypowiediane przez Jezusa „słowo”, które przyjęte – daje życie wieczne, a odrzucone – staje się osobistym sędzią danego człowieka¹

Święty Mateusz przytacza w swojej Ewangelii inną, paralelną wypowiedź Jezusa, która naświetla obrazowo istotny sens powyższych Jego stwierdzeń. Przy końcu *Kazania na Górze* Jezus zwraca wyraźnie uwagę na rangę wypowiedianych przez siebie słów i na ich oddźwięk u słuchaczy:

Nie każdy, który Mi mówi: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie. Wielu powie Mi w owym dniu: Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia, i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia? Wtedy oświadczę im: Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości. Każdego więc, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztroptym, który dom swój zbudował na skale. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i uderzyły w ten dom. On jednak nie runął, bo na skale był utwierdzony. Każdego zaś, kto tych słów moich słucha, a nie wypełnia ich, można porównać z człowiekiem nierozsądnym, który dom swój zbudował na piasku. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki (Mt 7, 21-27).

Natomiast św. Jakub Apostoł wyjaśnia wiernym te istotne dla nich prawdy w sposób następujący:

Każde dobro, jakie otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca światel, u którego nie ma przemiany ani cienia zmienności. Ze swej woli zrodził nas przez słowo prawdy, byśmy byli jakby pierwocinami Jego stworzeń. Wiedźcie, bracia moi umiłowani: każdy człowiek winien być chętny do słuchania, nieskory do mówienia, nieskory do gniewu. (...) Odrzućcie przeto (...) cały bezmiar zła, a przyjmijcie w duchu łagodności zaszczerpione w was słowo, które ma moc zbawić dusze wasze. Wprowadzajcie zaś słowo w czyn, a nie bądźcie tylko słuchaczami oszukującymi samych siebie. Jeżeli bowiem ktoś przysłuchuje się tylko słowu, a nie wypełnia go, podobny jest do człowieka oglądającego w lustrze swe

¹ Por. m.in. K. Lehmann, *Co oznacza „życie wieczne”?*, *Communio* 12 (1992) nr 1, s. 3-15; L. Balter, *Czy istnieje życie wieczne?*, tamże, s. 16-23; J. Luzarraga, *Życie wieczne w pismach św. Jana*, tamże, s. 24-33; F. C. Ferreira, *Życie ziemskie a życie wieczne*, tamże, s. 37-45; M. Bordowi, *Życie wieczne*, tamże, s. 57-72.

naturalne odbicie. Bo przyjrzał się sobie, odszedł i zaraz zapomniał, jakim był. Kto zaś pilnie rozważa doskonale Prawo, Prawo wolności, i wytrwa w nim, ten nie jest słuchaczem skłonny do zapominania, ale wykonawcą dzieła; wypełniając je, otrzyma błogosławieństwo (Jk 1, 17-25).

I wreszcie godne uwagi i przypomnienia są dosyć znamienne napomnienia kierowane do chrześcijan przez autora *Listu do Hebrajczyków*, który – wskazując na dzieje wędrówki Izraela do ziemi obiecanej i związane z nią liczne zachwiania w wierze ludu wybranego – nawołuje ich najpierw: „Postępujcie tak, jak mówi Duch Święty” (Hbr 3, 7), by zaraz potem powtórzyć trzykrotnie w niewielkich odstępach, potrzebnych do wyjaśnienia jego treści, wezwanie: „Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych jak w buncie, jak w dzień kuszenia na pustyni...” (Hbr 3, 7-8. 15 i 4, 7). Za pierwszym razem przytacza słowa Jahwe: „Gniewałem się przeto na to pokolenie i powiedziałem: Zawsze błądzą w sercu (...). Toteż przysiągłem w gniewie moim: Nie wejdą do mego odpoczynku” (w. 10-11), wyciągając z nich następującą zachętę: „Uważajcie, bracia, aby nie było w kimś z was przewrotnego serca niewiary, której skutkiem jest odstąpienie od Boga żywego, lecz zachęcajcie się wzajemnie każdego dnia, póki trwa to, co «dzisiaj» się zwie (...). Jesteśmy bowiem uczestnikami Chrystusa, jeśli pierwotną nadzieję do końca zachowamy silną” (w. 12-14). Za drugim razem z przytoczonego wezwania wyciąga wniosek, że „i myśmy otrzymali dobrą nowinę, jak i tamci, lecz tamtym słowo usłyszane nie było pomocne, gdyż nie łączyli się przez wiarę z tymi, którzy je usłyszeli. Wchodzimy istotnie do odpoczynku my, którzy uwierzyliśmy, jak to powiedział: Toteż przysiągłem w gniewie moim: Nie wejdą do mego odpoczynku, aczkolwiek dzieła były dokonane od stworzenia świata (...). Wynika więc z tego, że wejdą tam niektórzy, gdyż ci, którzy wcześniej otrzymali dobrą nowinę, nie weszli z powodu swego nieposłuszeństwa, dlatego Bóg na nowo wyznacza pewien dzień – «dzisiaj» – po upływie dłuższego czasu” (Hbr 4, 2-3. 6-7). Trzeci z kolei wniosek jest już mocno ponagląjący: „Spieszmy się więc wejść do owego odpoczynku, aby nikt nie szedł za tym samym przykładem nieposłuszeństwa. Żywe bowiem jest słowo Boże, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca” (Hbr 4, 11-12).

Pomińmy w tym miejscu odpowiedź na pytanie, jak dalece na tych zwłaszcza słowach opiera się tradycyjne wezwanie modlitwne: „Wieczny odpoczynek (lub: Wieczne odpoczywanie) racz im (mu, jej) dać,

Panie...”, a także – chwilowo – kwestię pięciokrotnie wymienionego w tym krótkim tekście „dziś” („dzisiaj”). Zwróćmy natomiast uwagę na zastosowaną tu przez autora paralelę pomiędzy upragnionym przez Izraelitów, znużonych czterdziestoletnią wędrówką przez pustynię, a właściwie błakaniem się po niej, „odpoczynkiem” w ziemi obiecanej a naszym (chrześcijańskim) wejściem do „odpoczynku”. Jest ono mianowicie uzależnione od wiary konkretyzującej się w postępowaniu zgodnym ze wskazaniem (sugestiami, głosem) Ducha Świętego, który – jak uczy Sobór Watykański II – „mieszka w Kościele, a także w sercach wiernych jak w świątyni (por. 1 Kor 3, 16; 6, 19), w nich przemawia i daje świadectwo przybrania za synów (por. Ga 4, 6; Rz 8, 15-16 i 26)” (KK 4). To do nas autor Listu kieruje trzykrotnie to samo wezwanie: „Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych jak w buncie...”, i to nam także zaleca: „Uważajcie, bracia, aby nie było w kimś z was przewrotnego serca niewiary, której skutkiem jest odstąpienie od Boga żywego...” Zapewnia zarazem, że „wchodzimy istotnie do odpoczynku my, którzy uwierzyliśmy...”, zachęcając przy tym do pośpiechu właśnie ze względu na to powtarzane pięciokrotnie „dzisiaj”, które staje się – jego zdaniem – nowym „dzisiaj”, przeznaczonym lub wyznaczonym właśnie dla nas.

Czy jednak ta powtarzana przez wieki modlitwa: „Wieczny odpoczynek...”, która w niektórych okresach dziejów Kościoła i chrześcijan prześladowanych ze względu na wiarę była jak najbardziej na czasie, może być nadal prawdziwą modlitwą za zmarłych? Nie bez podstaw chyba po Soborze Watykańskim II Kościół usunął ją – jak do tego jeszcze dojdziemy przy końcu niniejszego studium – niemal całkowicie z liturgii, wprowadzając na jej miejsce proste uwielbienie Boga: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu...”, wyrażające równocześnie naszą wdzięczność za dar życia i obecności wśród nas tego oto zmarłego, czy w ogóle wiernych zmarłych. A jakie mogły być te podstawy? Zanim jeszcze dojdziemy do odpowiedzi opartej na odnośnych danych historyczno-teologicznych i liturgicznych, możemy – jak sądzę – zwrócić uwagę najpierw na nastawienie życiowe wielu kanonizowanych świętych, którzy podczas swego życia ziemskiego nie myśleli o jakimkolwiek odpoczynku w niebie, ale liczyli poważnie na możliwość zwielokrotnionego działania po swej śmierci cielesnej. Znaną są niemal powszechnie wypowiedzi „małej” św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która marzyła o tym, by „deszcz róż” zesłać z nieba na ziemię i w ten sposób przyczynić się bardziej skutecznie do zbawienia świata. M.in. z tej właśnie racji została uznana oficjalnie przez Kościół za

patronkę misji. Znane są wypowiedzi św. Maksymiliana Marii Kolbe, który niejednokrotnie powtarzał, że żyjąc na ziemi, może pracować tylko „jedną ręką”, albowiem drugą musi się trzymać Niepokalanej, aby nie pobił, natomiast w Niebie będzie mógł już pracować obydwoma rękami. Znana jest także powszechnie wielowiekowa praktyka Kościoła, który „zatrudnia” świętych mieszkańców Nieba na różne sposoby do zajmowania się naszymi ludzkimi sprawami. Nie mają oni, po ludzku rzecz biorąc, ani chwili spokoju: św. Antoni Padewski jest specjalistą od wyszukiwania rzeczy zagubionych, św. Florian – od ognia i gaszenia pożarów, św. Barbara jest patronką górników, św. Krzysztof – specjalistą od podróżowania różnymi środkami lokomocji, a tym samym patronem podróżujących, którzy wzywają wciąż jego opieki, św. Juda Tadeusz, Apostoł, uchodzi za specjalistę od załatwiania spraw beznadziejnych; nie mówiąc już o patronach poszczególnych parafii, diecezji czy Kościołów lokalnych, a także cechów, rzemiosł i zawodów, a wreszcie konkretnych osiedli, miast i państw. A czy Najświętsza Maryja Dziewica może zaznawać w niebie „wiecznego odpoczywania”, skoro wierni chrześcijanie przyzwyczajają Ją w przeróżnych potrzebach, nie dając Jej żadnego wytchnienia dniem i nocą?!

Godne uwagi i głębszego zastanowienia są w tej kwestii słowa o. Kolbe, kierowane często do prostych braci zakonnych w Niepokalanowie. Tuż po śmierci br. Annuncjatusa (4 listopada 1936) nasz święty powiedział m.in.: „Śmierć jest drogą do nieba. (...) Pamiętam, gdy jeden z pierwszych członków Milicji Niepokalanej zmarł w Rzymie, atmosfera była spokojna, a nawet radosna. Cieszyli się wszyscy, że już dostał się do nieba. Tak samo i tutaj, w Niepokalanowie, panuje ta radość. Wszyscy jesteśmy przeświadczeni, że zmarły dziś nad ranem br. Annuncjatus poszedł prosto do nieba” I zaraz potem wyjaśnił powód tej pewności: „Kto bezgranicznie oddał się Niepokalanej z ciałem i duszą, śmiercią i wiecznością, tak jak to jest napisane w dyplomiku milicyjnym, ten do czyśćca nie idzie. (...) Powinniśmy się cieszyć, iż br. Annuncjatus poszedł wprost do nieba, bo on miał to usposobienie, tego ducha. Widać to było po nim” Następnie, po omówieniu rangi i wielkiego znaczenia obecności ludzi chorych w klasztorze, o. Kolbe stwierdził: „Jeżeli tedy chorzy tak są pożyteczni, a ich dział pracy tak wydajny, to cóż powiedzieć o tych, którzy już są w niebie! – Utarło się u nas takie przekonanie, że gdy jest jakaś wyjątkowa sprawa do przeprowadzenia, to wybiera się ktoś do nieba i staje się tam «działowym» tej sprawy. Tak było i ze sprawą Milicji

Niepokalanej (...). Dopiero po śmierci dwóch pierwszych członków wszystko się zaczęło rozwijać (...). Gdy o. Wenanty położył się do grobu², rozpoczyna się wydawanie «Rycerza»³ W Grodnie umiera jeden z pierwszych braci, który był najbardziej może potrzebny – brat Albert⁴, i wtedy wybieramy się na pola teresińskie na poszukiwanie terenu pod Niepokalanów. (...) O. Alfons⁵ umarł właśnie wtedy, kiedy trudności finansowe były tak wielkie, że nawet sam o. prowincjał płakał, że nie zdoła z nich wybrnąć, że katastrofa musi nastąpić. Tymczasem po śmierci o. Alfonsa, nie wiadomo skąd, bo całkiem niespodzianie, wpływają większe kwoty i długi się reguluje. Ci, co schodzą z tego świata, rozpoczynają dopiero «tam» swe dzieło (...)” I wreszcie, po omówieniu konkretnych warunków życia traktowanego jako prosta droga do wieczności, o. Kolbe wyjaśnia, że „po śmierci możemy przez modlitwy o wiele więcej pomagać wszystkim, bo mamy już ręce wolne. Święci z sobą już nie mają kłopotu. Ci, co przeszli do Niepokalanowa niebieskiego, więcej interesują się nami i sprawami Niepokalanowa ziemskiego od nas. Możemy więc załatwiać sprawy z nimi bezpośrednio, już nie za pośrednictwem karteczek i instytucji, ale bezpośrednio. Jak będziemy mieć jakiś kłopot czy coś innego, zwróćmy się do nich, a oni załatwią to z Niepokalaną. Gdy ktoś odchodzi od nas, można polecić mu różne sprawy do załatwienia, a na pewno tam w niebie będą załatwione. (...) Oczywiście musimy polecić br. Annuncjatusa miłosierdziu Bożemu i Niepokalanej według naszej Reguły, ale miejmy przekonanie, że on tych modlitw już nie potrzebuje, a Niepokalana przeznaczy je innym duszom”⁶

Podobne myśli, przeplatane tu i ówdzie ówczesną wiedzą eschatologiczną, przewijają się w wielu innych konferencjach ascetycznych św. Maksymiliana. Założyciel Niepokalanowów przypomina wciąż braciom konieczność czujności i należytego przygotowywania się na ten dzień nasz ostateczny, podając im jako przykład postawę św. Antoniego Padewskiego, który gdy tylko „poczuł, że siostra śmierć jest blisko, począł śpiewać pieśń o chwale niebieskiej Pani. (...) I tak

² O. Wenanty Katarzyniec zmarł 31 marca 1921 r.

³ Od stycznia 1922 r.

⁴ Br. Albert Olszanowski, kierownik drukarni, zmarł 10 grudnia 1926 r.

⁵ O. Alfons Kolbe zmarł 3 grudnia 1930 r.

⁶ *Konferencje ascetyczne. Notatki słuchaczy z przemówień Ojca Maksymiliana Kolbego, Niepokalanów 1976, s. 88-91.*

śpiewając, umarł z hymnem na ustach, jak św. o. Franciszek, który śpiewał hymn do słońca”⁷

Podobnie jak Maksymilian wypowiedała się także święta siostra Faustyna Kowalska, z tą tylko dosyć istotną różnicą, że on przemawiał raczej oficjalnie, bo jako przełożony, do swych braci w klasztorze, podczas gdy Faustyna przelewała na papier jedynie własne przeżycia i dojrzewające wciąż w niej nastawienie duchowe. 12 sierpnia 1934 roku, czyli ponad cztery lata przed swą śmiercią cielesną, zapisała w *Dzienniczku*: „Nagle zasłabnięcie – cierpienie przedśmiertelne. Nie była to śmierć, czyli przejście do życia prawdziwego, ale skosztowanie jej cierpień. (...) Nagle zrobiło mi się niedobrze, brak tchu, ciemno w oczach, czuję zamieranie w członkach – to duszenie jest straszne. Chwilka takiego duszenia jest niezmiernie długa...” (nr 321). W dwa lata później nastawienie jej się zmienia: mimo świadomości grozy umierania Faustyna zaczyna pragnąć śmierci. 24 września 1936 roku, czując zbliżającą się śmierć, stwierdza: „... myślałam, że już dla mnie nastąpi dzień śmierci, dzień przeze mnie upragniony. (...) Pomyślałam sobie: jeżeli po takich cierpieniach nie ma śmierci, więc jak wielkie muszą być cierpienia śmiertelne” (nr 696). Ale natychmiast dodaje: „Pragnę wysławiać nieskończone miłosierdzie Twoje w życiu, w godzinie śmierci i w zmartwychwstaniu, i w nieskończoność” (nr 697). Traktuje więc wciąż śmierć jako „przejście do życia prawdziwego”, które nie polega wcale na jakimś „wiecznym odpoczynaniu...”, gdyż jest samą pełnią życia z Bogiem Żywym. 17 grudnia tegoż roku odnotowuje słowa zasługujące na szczególną uwagę teologiczną, albowiem zespalają one ściśle moment śmierci z początkiem tej pełni życia, którą się zyskuje w zmartwychwstaniu:

„O dniu jasny i piękny, w którym się spełnią wszystkie życzenia moje, o dniu upragniony, który będziesz ostatnim w życiu moim! Cieszę się tym ostatnim rysem, który mój Boski Artysta położy na duszy mojej, który nada odrębną piękność duszy mojej, która mnie odróżniać będzie od piękności dusz innych. O dniu wielki, w którym utwierdzi się miłość Boska we mnie! W tym dniu po raz pierwszy wyśpiewam przed niebem i ziemią pieśń niezgłębionego miłosierdzia Pańskiego. Jest to dzieło i posłannictwo moje, które mi Pan przeznaczył od założenia świata. (...) Uzbrajam się w cierpliwość i czekam na przyjście Twoje, miłosierny Boże, a straszne bolesti i lęk konania – w tym momencie więcej niż kiedy indziej ufam w przepaść miłosierdzia Twojego...” (nr 825).

⁷ Tamże, s. 349.

Natomiast kilkanaście dni potem, niemal u progu Nowego Roku 1937, Faustyna rozwija i pogłębia te same swoje uczucia oraz nastawienia:

„O Jezu, czyń ze mną, co Ci się podoba, wiem, że jesteś miłosiernym Zbawicielem, a wiem, że się nie zmienisz dla mnie w godzinę śmierci. Jeżeli teraz mi okazujesz tyle szczególnej miłości i tak poufale i łaskawie raczysz się ze mną łączyć, więc spodziewam się jeszcze więcej w śmierci godzinę. Ty, Pan, Bóg mój zmieniać się nie możesz, jesteś zawsze ten sam; niebiosa się odmienić mogą i wszystko, co jest stworzone, ale Ty, Panie, zawsze ten sam trwać będziesz na wieki – a więc przyjdź, jak chcesz i kiedy chcesz. Ojciec nieskończonego miłosierdzia, ja, dziecię Twoje, z utęsknieniem czekam na przyjście Twoje...” (nr 854).

W styczniu i lutym 1937 roku Faustyna umiera wprost – jak kilkakrotnie sama pisze – z tęsknoty za Bogiem, z poczucia, że jest „na wygnaniu”, umiera „z pragnienia, by połączyć się na wieki z Tobą, a śmierci nie pozwalasz, by się zbliżyła do mnie” (nr 952). Latem zaś tegoż roku układa wiersz, jedyny chyba w swoim rodzaju w całej literaturze światowej, którego poszczególne strofy zaczynają się takimi oto wezwaniami dotyczącymi „ostatecznego” dnia jej życia na ziemi: „O dniu wieczysty, o dniu upragniony...”, „O dniu przepiękny, chwilo niezrównana...”, „O dniu najuroczystszy, o dniu jasności...”, „O dniu szczęśliwy, o dniu błogosławiony...”, „O dniu, którego przez całe życie wyglądam...”, „O dniu rozkoszy, wieczystych słodczy...” (nr 1230). A jedyną, opisywaną na różne sposoby w poszczególnych strofach, motywacją tych wezwań jest ostateczne jej wejście do pełni życia z Bogiem, który jest Miłością obfitującą niezglębionym – po ludzku rzecz biorąc – miłosierdziem.

Zauważmy to dobrze: Faustyna nie mówi, bo nawet na myśl jej to nie przychodzi, że umrze, i pragnie umrzeć tylko po to, by kiedyś, po latach, gdzieś u kresu czasów, znaleźć się w bezpośredniej obecności Boga, jest bowiem głęboko przekonana, że to jej spotkanie z Bogiem „twarzą w twarz”, podobnie zresztą jak tylu, tylu innych, dokona się w śmierci, kiedy to „dusza pozna Boga w Jego potędzie i cała zatoni w Jego miłości, i pozna, że już minęły wygnania nędze” (tamże). Dlatego też sama zwraca się do śmierci na kilka miesięcy przed jej faktycznym przybyciem z gorącym i bardzo serdecznym zapytaniem: „O śmierci, posłańcu Boży, kiedy mi zwiastujesz tę upragnioną chwilę, przez którą się zjednoczę na wieki z Bogiem moim?” (nr 1573), a w ostatnią przeżywaną na tym świecie Wielkanoc wyznaje z głębi serca: „Czułam tak głęboki spokój, że gdyby śmierć w tej chwili

nastąpiła, nie powiedziałabym jej – poczekaj, bo mam jeszcze sprawy do załatwienia. Nie, ale z radością powitałabym ją, bo jestem gotowa na spotkanie się z Panem nie tylko dziś, ale od chwili, w której całkowicie zaufałam miłosierdziu Bożemu” (nr 1679).

Do tego powtarzającego się tu wielokrotnie „dziś”, które padło także z ust Jezusa umierającego na krzyżu, kiedy to na prośbę konającego obok Niego łotra: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa”, wprost odpowiedział: „Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju” (Łk 23, 42-43), dodać trzeba jeszcze jedno. Powyższa wzmianka o ostatniej w życiu Faustyny Wielkanocy przywodzi bowiem na myśl godną rozważenia wielkanocną homilię św. Jana Chryzostoma⁸, w której ten czcigodny Ojciec Kościoła już na samym początku bardzo mocno podkreśla: „Dziś spżowowe bramy zламаł Pan nasz Jezus Chrystus i zniszczył samą osobę śmierci. Czemu mówię «osobę»? Nawet imię jej zmienił, bo już nie zwie się śmiercią, lecz zaśnięciem i snem” A następnie, po stwierdzeniu, iż „przed przyjściem Chrystusa i ekonomicznością Krzyża już samo imię śmierci było straszne”, przytacza cały szereg wypowiedzi ze Starego Testamentu na potwierdzenie tej swojej tezy, iż „zejście z tego życia zwie się tam śmiercią i Hadesem”⁹ Dopiero dzięki temu, że Chrystus

został wydany na ofiarę i zmartwychwstał, zniósł Pan łaskawy te nazwy i wprowadził na świat nowy sposób życia. Zejście z tego życia nie zwie się już śmiercią, lecz zaśnięciem i snem. Z czego to wynika? Posłuchaj, jak mówi Chrystus: „Łazarz, przyjaciel nasz, zasnął, lecz idę, aby go obudzić” (J 11, 11). Jak bowiem dla nas łatwo jest zbudzić kogoś ze snu, tak i wspólnemu wszystkim Panu wskrzesić z martwych. (...) A nauczyciel powszechny św. Paweł tak pisze do Tesaloniczan: „Nie chcemy, bracia, byście nie wiedzieli o śpiących¹⁰, abyście się nie smucili, jako i ci, którzy nie mają nadziei” (1 Tes 4, 12). I gdzie indziej: „Tak więc i ci, co zasnęli¹¹

⁸ Tekst polski w: św. Jan Chryzostom, *Homilie i kazania wybrane*, tłum. W. Kania, Warszawa 1971, s. 103-110.

⁹ Korzystając z Septuaginty, Jan Chryzostom nazywa piekło-podziemie Hadesem, a nie Szeolem, jak to czyni np. Biblia Tysiąclecia. Brak przekładu na j. polski tej greckiej wersji Starego Testamentu, którą posługiwali się wschodni Ojcowie Kościoła i z której korzysta do dziś cały Wschód chrześcijański, stwarza poważne trudności w tłumaczeniu odnośnych tekstów patrystycznych, i nie tylko. A przecież nie ulega wątpliwości, że taki właśnie przekład miałby również wielkie znaczenie ekumeniczne: pozwalałby nam bowiem lepiej zrozumieć teologię Wschodu chrześcijańskiego, opartą w całości na tej właśnie wersji Pisma Świętego.

¹⁰ Nie wiem, dlaczego Biblia Tysiąclecia zmieniła we wszystkich odnośnych miejscach oryginalny tekst grecki i łacińską Wulgatę, zastępując „śpiących” (κοιμωμένων i pochodne; łac. dormientibus, qui dormierunt, etc.) – „umarłymi”

¹¹ Grec. κοιμηθέντες; łac. qui dormierunt.

w Chrystusie, poszli na zatracenie” (1 Kor 15, 18). I znów: „My, żywi, pozostawieni na przyjście Pana, nie wyprzedzimy tych, którzy zasnęli¹²” (1 Tes 4, 15). I jeszcze gdzie indziej: „Jeśli bowiem wierzymy, że Jezus umarł i zmartwychwstał, tak samo też Bóg tych, co zasnęli¹³ w Jezusie, wyprowadzi wraz z Nim” (1 Tes 4, 14). – Widzicie, jak śmierć zwie się zaśnięciem i snem, i przedtem straszna, teraz po Zmartwychwstaniu łatwo jest lekceważona. Widzisz triumf Zmartwychwstania? (...) Dziś święcimy sławny triumf zwycięstwa, dziś Pan nasz wzniosłszy znak zwycięstwa przeciw śmierci, zdeptałszy tyranie szatana, przez Zmartwychwstanie zabezpieczył nam drogę do zbawienia.

Po dłuższym wywodzie na temat relacji zachodzącej pomiędzy grzechem pierwszych rodziców i odniesionym nad nim zwycięstwem Chrystusa na drzewie krzyża, ten czcigodny Autor dochodzi do godnego zapamiętania wniosku, iż właśnie dzieło Krzyża stanowi „najważniejszą treść Zmartwychwstania”

Chociaż Chrystus swą zbawczą śmiercią radykalnie zmienił naszą sytuację życiową i nasz stosunek do śmierci, to przecież nawet dla tak uduchowionej i zjednoczonej z Nim osoby, jaką była św. Faustyna, śmierć cielesna jawiła się przez szereg lat jako bardzo bolesne przeżycie. Nic więc dziwnego, że tradycyjna pobożność ludowa akcentowała na różne sposoby godzinę lub moment śmierci, zalecając w sposób szczególny pamięć o niej i przeróżne modlitwy o dobrą, spokojną śmierć, będącą prawdziwym przejściem z tego kruchego życia do życia wiecznego w pełnym tego słowa znaczeniu. Niezwykle głębokie w swej treści teologicznej i wymowie są wywodzące się z wczesnego średnio-wiecza słowa drugiej części *Pozdrowienia anielskiego*, odmawianego jakże często przez wiernych, zwłaszcza w zalecanej tak gorąco przez papieża ostatniego stulecia modlitwie różańcowej, w której błagamy Maryję o modlitwę za nas „teraz” i „w godzinę śmierci naszej” Liczą się bowiem tak naprawdę w życiu ludzkim tylko te dwa momenty: nasze nieustanne „teraz” i „godzina śmierci naszej” Wszystko inne w nich się mieści albo wokół nich się obraca. Ważna zaś i miarodajna wobec Boga jest zawsze moja postawa „teraz”, czyli w tej oto konkretnej chwili, i w momencie mojej własnej śmierci cielesnej. Te dwa momenty zasługują przeto na nieco bardziej wnikliwe omówienie.

Niemal niezauważalnie przeszliśmy w ten sposób od akcentowanego wyżej, i to przez dłuższy czas, „dzisiaj” do „teraz” i od wspo-

¹² Jak wyżej.

¹³ Jak wyżej.

mnianego na początku ewangelicznego „dnia ostatecznego” do nieznanego nigdy nikomu „godziny naszej śmierci” (cielesnej). Sam fakt nieznanego tego dnia i tej godziny nie upoważnia nikogo do „siedzenia na laurach”, a tym bardziej do jakiegoś marazmu, zniechęcenia lub zubożenia. Sam Jezus zachęcał przecież swych słuchaczy do ustawicznej czujności i gotowości na spotkanie z Nim. Również św. Paweł Apostoł tak mocno akcentował w swym nauczaniu konieczność czuwania i gotowości, że musiał potem w listach wyjaśniać słuchaczom pewne okoliczności związane z powtórным przyjsciem Pana. Konkretyzując zaś na swój sposób Jego zalecenia, w *Pierwszym Liście do Tesaloniczan* (5, 1-11) Apostoł Narodów stwierdzał:

„Nie potrzeba wam, bracia, pisać o czasach i chwilach. Sami bowiem dokładnie wiecie, że dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy. Kiedy bowiem będą mówić: Pokój i bezpieczeństwo – tak niespodzianie przyjdzie na nich zagłada, jak bóle na brzemienną, i nie ujdą. Ale wy, bracia, nie jesteście w ciemnościach, aby ów dzień miał was zaskoczyć jak złodziej. Wszyscy wy bowiem jesteście synami światłości i synami dnia. Nie jesteśmy synami nocy ani ciemności. Nie śpijmy przeto jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi. Ci, którzy śpią, w nocy śpią, a którzy się upijają, w nocy są pijani. My zaś, którzy do dnia należymy, bądźmy trzeźwi, odziani w pancerz Wiary i miłości oraz hełm nadziei zbawienia. Ponieważ nie przeznaczył nas Bóg, abyśmy zasłużyli na gniew, ale na osiągnięcie zbawienia przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który za nas umarł, abyśmy, czy żywi, czy umarli¹⁴, razem z Nim żyli. Dlatego zachęcajcie się wzajemnie i budujcie jedni drugich, jak to zresztą czynicie”

Godne przypomnienia i uwagi są również następujące słowa św. Piotra Apostoła, w których nawiązuje on wyraźnie do nauk Apostoła Narodów w tym względzie:

„Niech zaś dla was, umiłowani, nie będzie tajne to jedno, że jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień. Nie zwleka Pan z wypełnieniem obietnicy – bo niektórzy są przekonani, że Pan zwleka – ale On jest cierpliwy w stosunku do was. Nie chce bowiem niektórych zgubić, ale wszystkich doprowadzić do nawrócenia. Jak złodziej zaś przyjdzie dzień Pański, w którym niebo ze świstem przeminie, gwiazdy się w ogniu rozsypią, a ziemia i dzieła na niej zostaną odnalezione. Skoro to wszystko w ten sposób ulegnie zagładzie, to jakimi winniście być wy w świętym postępowaniu i pobożności, gdy oczekujecie i staracie się przyspieszyć

¹⁴ I znów cytowana tu Biblia Tysiąclecia odeszła od oryginału greckiego i Wulgaty, które zgodnie mówią o naszym „czuwaniu” i „śnie”: „czy to czuwający, czy śpiący”, co niewątpliwie bardziej synchronizuje z poprzednimi słowami o śnie i czuwaniu.

przyjście dnia Bożego, który sprawi, że niebo zapalone pójdzie na zagładę, a gwiazdy w ogniu się rozsypią¹⁵ Oczekujemy jednak, według obietnicy, nowego nieba i nowej ziemi, w których będzie mieszkała sprawiedliwość. Dlatego, umiłowani, oczekując tego, starajcie się, aby On was zastał bez plamy i skazy – w pokoju, a cierpliwość Pana naszego uważajcie za zbawienną, jak to również umiłowany nasz brat Paweł według danej mu mądrości napisał do was, jak również we wszystkich listach, w których mówi o tym. Są w nich trudne do zrozumienia pewne sprawy, które ludzie niedouczeni i mało utwierdzeni opacznie tłumaczą, tak samo jak i inne Pisma, na własną swoją zgubę. Wy zatem, umiłowani, wiedząc o tym wcześniej, strzeżcie się, abyście dając się uwieść błędom tych, którzy nie szanują praw Bożych, własnej stałości nie doprowadzili do upadku. Wzrastajcie zaś w łasce i poznaniu Pana naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa” (2 P 3, 8-18).

Nie wnikając, zwłaszcza ze względu na niedoskonałości przekładu, ...pragnę zwrócić szczególną uwagę nie tylko na to tak jasne stwierdzenie Piotra, iż „jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień”, uwypuklające z innej jeszcze strony interesujące nas tu „dzisiaj” i „teraz”, oraz na wyciągany stąd przez Apostoła wniosek dotyczący nieodzownej dla nas cierpliwości, o której nie było dotąd jeszcze mowy, ale także na końcową zachętę do wzrastania w łasce i poznaniu Jezusa. Łączy się ona bowiem ściśle z nieco wcześniejszym od zacytowanego wyżej zaleceniem św. Pawła: „A na koniec, bracia, prosimy i zaklinamy was w Panu Jezusie: według tego, coście od nas przejęli w sprawie sposobu postępowania i podobania się Bogu – jak już postępujecie – stawajcie się coraz doskonalszymi! Wiecie przecież, jakie nakazy daliśmy wam przez Pana Jezusa. Albowiem wolą Bożą jest wasze uświęcenie” (1 Tes 4, 1-3).

Historia Kościoła ukazuje, że chrześcijanie od zarania swoich dziejów, wsłuchując się w słowa Jezusa nauczającego ich przez Ewangelie, odczytywane uroczyście podczas spotkań modlitewno-liturgicznych, oraz konkretyzujące je pouczenia Jego Apostołów, wiedzieli dobrze, że powinni wykorzystywać czas im dany i zadany do ustawicznego pogłębiania w sobie otrzymanego na chrzcie św. życia wiecznego, czyli do ciągłego wzrastania w łasce i w poznaniu Jezusa Chrystusa, gdyż jest to jedyna droga wiodąca z życia (doczesnego) do pełni życia w Bogu. Obok wspomnianych wyżej przeróżnych umartwień rozwijali

¹⁵ Przyznam, że tekst ten jest dla mnie zupełnie niezrozumiały, podczas gdy Wulgata wiernie oddaje wersję grecką słowami: „...in adventum diei Domini, per quem caeli ardentis solvantur, et elementa ignis ardore tabescent”

więc w sobie także to, co Tradycja nazwała zbieraniem zasług na niebo lub po prostu zasługiwaniem na życie wieczne w niebie. Tę tradycyjną naukę potwierdził w pełni Sobór Trydencki (sesja VI), akcentując mocno nie tylko możliwość, ale i konieczność naszej współpracy z Bogiem celem powiększenia w sobie „stanu posiadania” życia wiecznego. Sam Jezus przecież w przypowieściach o minach (por. Łk 19, 12-26) lub talentach (por. Mt 25, 14-30) zganiał mocno człowieka, który je schował lub zakopał w ziemi, chwając tych wszystkich, którzy potrafili – każdy na swój sposób – odpowiednio je pomnożyć. Dopowiedział przy tym rzecz znamioną: „Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma” (Mt 25, 29; Łk 19, 26).

Teologia potrydencka rozwinęła naukę o zasłudze i zasługiwaniu, uwypuklając trzy zasadnicze momenty, a mianowicie: podstawę, warunki i przedmiot, co utożsamia się mniej więcej z ujmowaniem zasługi od strony Boga, człowieka i czynu. Podstawą zasługi jest niewątpliwie – zgodnie z Objawieniem – obietnica Boża. Fakt ten podkreśla m.in. św. Jakub Apostoł, gdy stwierdza dobitnie, iż błogosławiony jest człowiek, „który wytrwa w pokusie, gdy bowiem zostanie poddany próbie, otrzyma wieniec życia, obiecany przez Pana tym, którzy Go miłują” (Jk 1, 12). Stosując obowiązującą w prawidłowo pojętej teologii analogię proporcjonalności właściwej, można by porównać tę Bożą obietnicę z czysto ludzką umową o pracę: Bóg – podobnie jak ludzki pracodawca – zawiera z ludźmi jako swymi pracownikami odpowiednią umowę, określającą warunki, przedmiot pracy i należne za nią wynagrodzenie. Z tym, że na skutek braku parytetu nie da się tego Bożego wynagrodzenia określić mianem (czysto ludzkiej) „pensji”, ta bowiem opiera się na międzyludzkiej sprawiedliwości, podczas gdy w odniesieniu do Boga można mówić wyłącznie o Jego wierności sobie samemu i swojemu słowu, danemu człowiekowi. Stąd też teologia określa tę naszą zasługę wobec Boga mianem *meritum de condigno* (a nie: *de iustitia*), albowiem jej podstawą ze strony Boga nie jest Jego Boska sprawiedliwość, przewyższająca jakąkolwiek ludzką, ale wierność danym obietnicom.

Przedmiotem ludzkiego zasługiwania wobec Boga może być w tej sytuacji to tylko, co Bóg nam obiecał. Otóż teologowie dostrzegają w Objawieniu Bożym wyłącznie trzy rzeczy przyobiecane nam przez Boga: wzrost łaski, czyli przyjaźni człowieka z Bogiem, życie wieczne (w niebie) oraz wzrost szczęścia wiecznego. Obok cytowanego wyżej wezwania św. Piotra Apostoła: „Wzrastajcie w łasce...”, można by

z powodzeniem przytoczyć także usłyszane przez św. Jana Apostoła słowa: „Sprawiedliwy niech jeszcze wypełni sprawiedliwość, a święty niechaj się jeszcze uświęci. Oto przyjdę niebawem, a moja zapłata jest ze Mną, by tak każdemu odpłacić, jaka jest jego praca” (Ap 22, 11-12). O wzroście i zróżnicowaniu szczęścia wiecznego zdają się świadczyć m.in. następujące słowa Jezusa, odnotowane przez tegoż Apostoła: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce” (J 14, 2). Również św. Paweł, który porównuje kilkakrotnie życie ludzkie do różnych zawodów sportowych, akcentuje w odniesieniu do siebie samego i innych rangę odniesionego podczas nich zwycięstwa. Gdy chodzi o siebie samego, Paweł – w pełni świadomy swej bliskiej już śmierci („krew moja już ma być wylana na ofiarę, a chwila mojej rozłąki nadeszła” – w. 6) – nie waha się stwierdzić: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiarę ustrzegłem. Na ostatek odłożono dla mnie wieniec sprawiedliwości, który mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia, a nie tylko mnie, ale i wszystkim, którzy umiłowali pojawienie się Jego” (2 Tm 4, 7-8). Wiernych z kolei poucza i zachęca, stawiając im za wzór samego siebie: „Czyż nie wiecie, że gdy zawodnicy biegną na stadionie, wszyscy wprawdzie biegną, lecz jeden tylko otrzymuje nagrodę? Przeto tak biegnijcie, abyście ją otrzymali. Każdy, który staje do zapasów, wszystkiego sobie odmawia; oni, aby zdobyć przemijającą nagrodę, my zaś nieprzemijającą. Ja przeto biegnę nie jakby na oślep; walczę nie tak, jakbym zadawał ciosy w próżnię, lecz poskrwiam moje ciało i biorę je w niewolę, abym innym głosząc naukę, sam przypadkiem nie został uznany za niezdarnego” (1 Kor 9, 24-27).

Natomiast warunkiem zasługiwania ze strony człowieka jest stan łaski uświęcającej i życie doczesne, z czego wynika, że zasługiwanie jako takie, względnie sama jego możliwość, kończy się z chwilą śmierci fizycznej danego człowieka.

Owszem, teologowie mówią także powszechnie o tzw. zasłudze ze stosowności (*de congruo*), którą można by z powodzeniem porównać do ludzkiej „premier” lub do wynagrodzenia za czyjąś bezinteresowną z założenia pracę, albowiem została wykonana bez żadnej uprzedniej umowy i siłą rzeczy nie nakłada na nikogo żadnego zobowiązania: można ją wynagrodzić przykładowo tak, jak to uczynił w przypowieści Jezusa (Mt 20, 1-16) „rozzutny” właściciel winnicy. Ponieważ nie ma w tym przypadku żadnej konkretnej obietnicy Bożej, zasługa ta może się rozciągać na różne osoby (przypomnijmy, że zasługa *de condigno*

odnosi się tylko do siebie samego, czyli wprost do człowieka „zasługującego”) i przedmioty, nie wymaga także koniecznie stanu łaski uświęcającej: może więc ją zdobywać także człowiek pozostający w stanie grzechu ciężkiego. W przeciwieństwie do niej, „Boska umowa o pracę” zakłada stan przyjaźni z Bogiem, w której się wciąż trwa, a w przypadku utraty możliwie szybko się go odzyskuje, dzięki czemu zdobyte dotychczas zasługi, chwilowo zamrożone lub uspione, odżywają na nowo, może nawet niepomniejszone. Zdobywanie tych wszystkich zasług kończy się natomiast bezpowrotnie w momencie cielesnej śmierci człowieka.

Co więcej, albo raczej: co gorzej!, nie ma powszechnej, a więc dotyczącej każdego człowieka obietnicy Bożej, że umrze on w stanie łaski uświęcającej, czyli – mówiąc językiem Soboru Trydenckiego – że wytrwa w dobrym do końca. I dlatego to wytrwanie może być jedynie wielkim i niezasłużonym (niezasługiwalnym) darem Boga, na który możemy mieć uzasadnioną w pełni nadzieję i o który winniśmy wciąż błagać naszego Stwórcę i Zbawiciela w pokornej i ufnej modlitwie. Dobrze to rozumiała pobożność ludowa, kiedy dołączyła do słów archaniola Gabriela w *Pozdrowieniu anielskim* gorącą prośbę kierowaną do Maryi: „Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej” Jak już bowiem wspomniałem, ważne są dla nas te dwa oddalone od siebie w nieznanym dla nas czasie momenty: „teraz” i „godzina śmierci naszej” O ile jednak „teraz” możemy zasługiwać na wzrost łaski i życie wieczne, to właściwym momentem „zasługiwania”, jeśli można tak – mniej poprawnie teologicznie – się wyrazić, na wejście do nieba, czyli na osiągnięcie pełni życia wiecznego, jest śmierć przeżyta w stanie łaski uświęcającej.

Dla lepszego uzmysłowania sobie tej trudnej na pierwszy rzut oka refleksji teologicznej posłużę się znanym obrazem sportowym, jakim są skoki narciarskie. I chociaż konieczna będzie tu zmiana perspektywy, albowiem skoczek pędzi do dołu zgodnie z przyciąganiem ziemskim, a w naszej świadomości niebo kojarzy się ze wznoszeniem do góry, to sama istota rzeczy nie ulega zmianie. O długości i jakości skoku decydują (pomijając odpowiednie przygotowanie narciarza, jego ubiór, narty itd.) zasadniczo dwa momenty: rozbieg i wyjście, wybicie się z progu. Sam rozbieg, który w naszym (teologicznym) przypadku byłby ustawicznym wznoszeniem się w życiu łaską Bożą, wymaga najpierw odpowiedniego odbicia się (ruszenia z miejsca), właściwej postawy skoczka i trzymania się utartego już toru, dzięki czemu jego szybkość nieustannie wzrasta; gdyby jednak skoczek, co się także

czasem zdarza, nie odbił się od podłoża w odpowiedniej chwili, skok będzie wówczas z pewnością nieudany, a nawet może grozić upadkiem i rozbiciem. To drugie odbicie, czyli samo wyjście z progu, symbolizuje dobrze moment naszej śmierci fizycznej.

Czy jednak sprawa jest aż tak trudna, może nawet beznadziejna? Skoro w pewnych momentach dziejów Kościoła odczytywane przezeń Objawienie publiczne samo przez się nie wystarczało, Jezus Chrystus sprawił w XIII wieku, wobec zakwestionowania Jego obecności w Eucharystii, za przyczyną bł. Julianny ożywienie kultu Najświętszego Sakramentu w Kościele, jak również w obliczu narastającego w XVII wieku jansenizmu wskazał za pośrednictwem św. Małgorzaty Marii Alacoque na swe przebite na krzyżu Serce i dał specjalną obietnicę czcicielom tegoż Serca, związaną z autentyczną praktyką dziewięciu pierwszych piątków miesiąca. Obietnica ta nie mówi, że wierny, który odprawi to szczególne nabożeństwo, będzie zbawiony, ale zapewnia go o tym, że nie umrze bez pojednania się z Bogiem, co jest niemal tożsame z zapewnieniem mu zbawienia wiecznego. Rozszerzany obecnie w świecie, zwłaszcza dzięki wielkim interwencjom Jana Pawła II, i mający wybitnie eschatologiczny charakter kult Bożego Miłosierdzia jest kolejnym uwypukleniem objawionej prawdy Bożej, dotyczącej możliwości osiągnięcia pełni życia wiecznego przez nas, grzesznych mieszkańców tej ziemi¹⁶. Zastanówmy się w związku z tym, czy słowa Jezusa, które s. Faustyna odnotowała w swym *Dzienniczku* (nr 83): „Napisz to: nim przyjdę jako Sędzia sprawiedliwy, przychodzę wpierw jako Król miłosierdzia”, odnoszą się tylko do niej, czy też do nas wszystkich? A jeśli tak, to w jakiej mierze i w jakim sensie? Czy spotykamy Króla Miłosierdzia już „teraz”, w naszym życiu codziennym, czy też spotkamy Go dopiero w chwili naszej śmierci?

¹⁶ Szerzej omówilem to zagadnienie w: *Chrystus Pan objawieniem Miłosierdzia Bożego*, w: *Wobec tajemnicy Bożego Miłosierdzia*, dz. cyt., s. 27-37; *Nurt eschatologiczny we współczesnym chrześcijaństwie a miłosierdzie Boże*, w: tamże, s. 74-88; *Kościół jako „sakrament” Miłosierdzia Bożego*, w: *W Miłosierdziu Bożym ku nowej ewangelizacji. V Kongres ku czci Miłosierdzia Bożego, 9-11 kwietnia 1999, Częstochowa – Dolina Miłosierdzia – Księża Pallotyni*, Ząbki 1999, s. 17-37; *Poświęcenie świata Bożemu Miłosierdziu*, w: *Bóg bogaty w miłosierdzie* (Kolekcja Communio 15), Poznań 2003, s. 3-20; *Mysł przewodnia pontyfikatu Jana Pawła II*, Communio 23 (2003) 5, s. 3-13; *Chrystus przemieniony Królem Miłosierdzia*, Communio 28 (2008) 1, s. 76-113.

2. Śmierć jako bezpośrednie spotkanie z ukrzyżowanym i uwielbionym Zbawicielem

Jezus, odchodząc z tego świata do Ojca, zapewnił Apostołów, że pozostanie z nimi na zawsze, aż do końca: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20). I rzeczywiście – jak potwierdza św. Marek (16, 19-20): „Po rozmowie z nimi Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i głosili Ewangelię wszędzie, a Pan współdziałał z nimi i potwierdził naukę znakami, które jej towarzyszyły” Nasuwa się jednak pytanie: czy ów koniec świata należy tu rozumieć indywidualnie, czy społecznie, jak sugerowaliśmy w poprzednim rozdziale, a tym samym: czy można śmiało mówić o ustawicznej obecności Jezusa w nas i przy nas, a zwłaszcza w Jego Kościele?

Otóż Sobór Watykański II nie ma najmniejszej nawet wątpliwości co do tego, że Jezus jest i działa w Kościele na wiele różnych sposobów. Skoro bowiem Kościół w swej całości i w swych poszczególnych członkach ma ustawicznie uobecniać i aktualizować dokonane raz na zawsze w Tajemnicy Paschalnej dzieło zbawienia ludzkości, to nie może przecież dokonywać tego sam, bez Chrystusa, który jest jego autentyczną Głową. I dlatego już w Konstytucji o Liturgii Sobór podkreśla, iż dla urzeczywistnienia tak wielkiego dzieła Chrystus jest zawsze obecny w swoim Kościele, szczególnie w czynnościach liturgicznych. Jest obecny w ofierze Mszy świętej, czy to w osobie odprawiającego, gdyż „Ten sam, który kiedyś ofiarował się na krzyżu, obecnie ofiaruje się przez posługę kapłanów”, czy też zwłaszcza pod postaciami eucharystycznymi. Obecny jest mocą swoją w sakramentach tak, że gdy ktoś chrzci, sam Chrystus chrzci. Jest obecny w swoim słowie, albowiem gdy w Kościele czyta się Pismo Święte, wówczas On sam mówi. Jest obecny wreszcie, gdy Kościół modli się i śpiewa psalmy, gdyż On sam obiecał: „Gdzie dwaj albo trzej są zgromadzeni w imię moje, tam i Ja jestem pośród nich” (Mt 18, 20) (KL 7).

Niemniej, jak stwierdza dobitnie św. Paweł, „teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany” (1 Kor 13, 12). Słusznie bowiem zauważa L. Boros¹⁷, że nasze ziemskie życie jest zazwyczaj rozdygotane, rozchwiane, znerwicowane, zawieszony niejako między przeszłością a przyszłością, gdyż w każdym

¹⁷ L. Boros, *Istnienie wyzwolone. Rozważania teologiczne*, tłum. B. Białecki, Warszawa 1971, s. 102n.

momencie swojej ziemskiej egzystencji każdy z nas pozostawia coś za sobą, zdążając nieustannie na spotkanie czegoś nowego, co jest przed nim, a co znów za chwilę przeminie. Człowiek nie jest więc nigdy tak naprawdę „sobą”: żyje wciąż jakby „za sobą” i „przed sobą”, czyli umykającą mu nieustannie przeszłością i pamięcią o niej, a także nigdy nieznaną mu do końca przyszłością i przeróżnymi marzeniami lub wyobrażeniami o niej, nie mogąc nigdy się skupić i „zebrać” w sobie, aby nadać temu życiu i samemu sobie jakiś konkretny kształt ostateczny. Pragnąc być (sobą), rzuca się przed siebie, w czas, a to pozwala mu tylko na muskanie każdej chwili; „dotyka” więc jedynie swego życia, ale tak naprawdę go nie przeżywa, gdyż ono wciąż mu się wymyka. Każda częśćka doczesnego życia zawiera w sobie – można by to także tak wyrazić – „śmierć” tego wszystkiego, co wciąż przemija, ale i jakiś wewnętrzny bunt przeciwko jej władzy. Dopiero w śmierci fizycznej, będącej przejściem z czasu w trzech jego wymiarach: przeszłości, terażniejszości i przyszłości, do wieczności, zaczyna się prawdziwe życie, które jest nieustanną, intensywnie przeżywaną „teraźniejszością”

Stąd też nasze spotkania z Chrystusem na ziemi nie są na ogół nigdy pełne, należycie pogłębione: Jezus jawi się nam i znika w bezmiarze naszych codziennych trosk i zajęć, rzeczy i osób nas otaczających. Dopiero śmierć cielesna wyzwala człowieka z tych wszystkich dotychczasowych jego powiązań, trosk i uzależnień, a także z chęci i możliwości Kainowego ukrywania się przed Bogiem (por. Rdz 4, 14). Dopiero w śmierci jego życie przestaje wyglądać jak rwący potok górski i staje się podobne do spokojnego, położonego pośród gór jeziora, sugerującego w swym bezruchu prawdziwą wieczność i odbijającego w swej głębi i pełni niemal świat cały. Tak więc pogrążając się w śmierci, człowiek – jak stwierdza nie bez racji Boros – „uwolniony zostaje od wszystkiego, co przeszkadzało mu dotąd w spojrzeniu w oblicze Boga” Co więcej: „Przez śmierć człowiek całkowicie oddaje się w ręce Boga. Nie może się już przed Nim dalej ukrywać. (...) I oto staje oko w oko ze zmartwychwstałym Panem. Chrystus sam zmuszony był wziąć na siebie ową śmiertelną walkę, agonię i śmierć, aby każdy człowiek, który kroczyć musi przez śmierć, nagle mógł się z Nim spotkać w olśniewającej jasności, aby każdy człowiek – przynajmniej w śmierci – mógł podjąć wobec Niego ostateczną decyzję”¹⁸

¹⁸ Tamże, s. 105.

Po stwierdzeniu, że właśnie w Jezusowej śmierci „Bóg całkowicie wyszedł naprzeciw człowieka”, i że właśnie przez to, iż sam wziął na siebie śmierć, zamknął tym samym przed nim wszelkie (inne) drogi wyjścia, Boros dochodzi do wniosku, że

człowiek musi przejść przez śmierć, a w śmierci nie uniknie spotkania z Chrystusem. Tu owa przerażająca przygoda oddalenia od Boga, w którą rzucił się (ten czy ów) człowiek, znajduje swój koniec. I oto Chrystus stoi przed człowiekiem w śmierci – wyraźnie widoczny, olśniewająco odczuwalny – i przywołuje go do siebie słowami zbawczej miłości. Chrystus będzie tak stał wiecznie, wiecznie będzie zajmował postawę przywołującej i obdarowującej miłości. Gdy człowiek w śmierci opowie się przeciw Chrystusowi, nie zmienia to miłości Chrystusa [do niego]. Ale miłość ta będzie owego człowieka wiecznie palić, jako kogoś, kto ją wiecznie przeżywa jako coś bardzo bliskiego i pomimo to odtrąca (i to jest wówczas piekło). Gdy natomiast opowiada się za Chrystusem, to ta sama miłość Chrystusa staje się dla niego wiecznym światłem i ostatecznym spełnieniem w bezgranicznym szczęściu, wieczną akceptacją bliskości Pana (i to jest wówczas niebo). Tak oto decyzja w chwili śmierci jest jednocześnie samym sądem¹⁹

Nie ulega wątpliwości, że ludzkie uczestnictwo w wieczności Boga, chociaż człowiek wierzący doświadcza go nieraz już tutaj, na ziemi²⁰, realizuje się w pełni dopiero w śmierci, i to „w taki sposób, że sama śmierć staje się wyższym rodzajem narodzin niż narodziny empiryczne” – jak stwierdza nie bez racji cytowany nieco wyżej P.-L. Landsberg²¹, dodając przy tym bardzo trafną uwagę: „Jeżeli istnieje życie będące w istocie śmiercią, to istnieje też śmierć będąca w rzeczywistości życiem” Chodzi mu o to, że jedyną prawdziwą, wieczną śmiercią człowieka jest jego potępienie, albowiem utożsamia się ono z definitywnym pozbawieniem się samego Źródła życia. Natomiast ludzie, którzy umierają w świecie i dla świata, rodząc się w ten sposób dla nieba, dostępują już teraz życia wiecznego i doświadczają Bożej obecności, która jest jedyną prawdziwą obecnością. Osoba zmarłego nie zostaje bowiem unicestwiona, lecz zyskuje „egzystencję ostateczną, w śmierci albo w życiu, w piekle albo w niebie. Sprawiedliwy uczestniczy w bycie, potępiony umiera wraz z szatanem, którego nieśmiertelność jest tylko pozorna, albowiem śmierć jest jego losem”²²

¹⁹ Tamże, s. 105-106.

²⁰ Szeroko omawia to zagadnienie J. Durandeaux, *Wieczność w życiu codziennym*, tłum. L. Rutowska, Warszawa 1968. Por. też D. L. Schindler, *Czas w wieczności, wieczność w czasie*, *Communio* 12 (1992) 1, s. 95-109.

²¹ P.-L. Landsberg, *O doświadczeniu śmierci*, dz. cyt., s. 65.

²² Tamże, s. 66.

Czy jednak Boros ma rację, akcentując tak mocno spotkanie każdego człowieka z Chrystusem zmartwychwstałym w ramach szeroko pojętej, jako przejście z tego świata do wieczności, jego śmierci? W pełni pozytywną odpowiedź na tak postawione pytanie można by uzasadnić na kilka sposobów. Na plan pierwszy wysuwają się niewątpliwie argumenty lub dane biblijne. Jak bowiem można zrozumieć i uzasadnić liczne wypowiedzi *Apokalipsy*, a niekiedy nawet samego Jezusa, odnotowane w tej Księdze przez umiłowanego Jego ucznia, mówiące o rychłym, nagłym, niespodziewanym przyjsciu Zbawiciela świata, jeśli się je odniesie do oczekiwanej dawniej Jego paruzji dopiero na końcu świata? Wezwania takie nie miałyby po prostu sensu, gdyby nie dotyczyły bezpośrednio wymienianych w *Apokalipsie* osób i wydarzeń. Tymczasem Jan wyraźnie stwierdza, że przebywając na wyspie Patmos, ujrzał „kogoś podobnego do Syna Człowieczego” (Ap 1, 13), który mu powiedział:

Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i Otchłani. Napisz więc to, co widziałeś, i to, co jest, i to, co potem musi się stać (w. 17-19).

Co widzisz, napisz w księdze i pošlij siedmiu Kościołom: do Efezu, Smyrny, Pergamu, Tiatyry, Sardów, Filadelfii i Laodycei (w. 11).

Aniołowi Kościoła w Efezie napisz: (...) przyjdę do ciebie i ruszę świecznik twój z jego miejsca, jeśli się nie nawrócisz. (...) Zwycięzcy dam spożyć owoc z drzewa życia, które jest w raju Boga (2, 1. 5 i 7).

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz: To mówi Pierwszy i Ostatni, który był martwy, a ożył: (...) Przestań się lękać tego, co będziesz cierpieć. (...) Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia. (...) Zwycięzcy śmierć drugą na pewno nie wyrządzi szkody (w. 8 i 10-11).

Aniołowi Kościoła w Pergamie napisz: To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry. (...) Przyjdę do ciebie niebawem... (w. 12 i 16).

Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz: To mówi Syn Boży: (...) nie nakładam na was nowego brzemienia, to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę (w. 18 i 24-25).

Aniołowi Kościoła w Sardach napisz: (...) Znam twoje czyny: masz imię, które mówi, że żyjesz, a jesteś umarły. (...) Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej, i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie (3, 1-3).

Aniołowi Kościoła w Filadelfii napisz: To mówi Święty, Prawdomówny (...). Znam twoje czyny. (...) Przyjdę niebawem: Trzymaj, co masz, by nikt nigdy twego wieńca nie zabrał! (w. 7-8 i 11).

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz: (...) Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust. (...) Ja

wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę. Bądź więc gorliwy i nawróć się! Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną. Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie, jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z moim Ojcem na Jego tronie (w. 14-16 i 19-21).

Cała zaś cytowana tutaj Księga, po stwierdzeniu: „Oto przyjdę niebawem, a moja zapłata jest ze Mną, by tak każdemu odpłacić, jaka jest jego praca” (Ap 22, 12), i dopowiedzi: „A Duch i Oblubienica mówią: Przyjdź!” (w. 17), kończy się słowami: „Mówi Ten, który o tym świadczy: Zaiste, przyjdę niebawem. Amen. Przyjdź, Panie Jezu!” (w. 21).

To końcowe wezwanie: *Marana tha* – „Przyjdź, Panie Jezu”, było – jak świadczą o tym wymownie dzieje Kościoła – częstym zawołaniem pierwszych chrześcijan, którzy odczuwali żywo słowa Jezusa mówiącego o swym ponownym, i to rychłym, przyjściu, jak choćby te oto: „Oto stoję u drzwi i kołaczę”, czyli konkretnie: „pukam do drzwi twego serca!” Albowiem wiedzieli oni dobrze, że Jezus jest nie tylko stale obecny w Kościele i mieszka w sercach wierzących jak w świątyni (por. J 14, 20; 15, 4; 17, 21; a zwłaszcza J 14, 23: „Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać”), ale także wciąż przychodzi – zgodnie z powtarzanymi wielokrotnie przez siebie słowami: „Nie zostawię was sierotami: Przyjdę do was” (J 14, 18); „A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem” (J 14, 3); „Słyszeliście, że wam powiedziałem: Odchodzę i przyjdę znów do was” (J 14, 28). Na pytanie zaś Piotra o dalszy los umiłowanego ucznia Jana Jezus odpowiedział: „Jeżeli chcę, aby pozostał, aż przyjdę, co tobie do tego?” Dlatego też – jak wyjaśnia sam Jan – „rozeszła się wśród braci wieść, że uczeń ów nie umrze. Ale Jezus nie powiedział mu, że nie umrze, lecz: Jeśli Ja chcę, aby pozostał, aż przyjdę, co tobie do tego?” (J 21, 22-23). Czyżby ten umiłowany uczeń Jezusa chciał wyrazić w ten sposób swą głęboką wiarę, podobną do Pawłowej, że już w swej śmierci spotka Syna Bożego, żywego i zmartwychwstałego, który go przyjmie i serdecznie przygarnie do siebie?

Można by mnożyć teksty Pisma Świętego, świadczące o tym, że Jezus wciąż przychodzi i że to my, umierając fizycznie, wchodzimy faktycznie w niepojętą dla nas Boską rzeczywistość Jezusa wciąż przychodzącego, który stoi i czeka na spotkanie z nami²³ Wiąże się z tym ściśle również nasza wcześniejsza refleksja nad dawnym i obec-

nym rozumieniem końca świata, z którym wiązano dotąd na ogół słowa kościelnego *Wyznania wiary*: „Stamtąd [lub: I powtórnie] przyjdzie sądzić żywych i umarłych”, nawiązujące w swej wymowie w jakiejś mierze do Pawłowego stwierdzenia: „To bowiem głosimy wam jako słowo Pańskie, że my, żywi, pozostawieni na przyjście Pana, nie wyprzedzimy tych, którzy pomarli” (1 Tes 4, 15). Jeśli bowiem się przyjmie, iż ten „nasz” świat kończy się faktycznie z chwilą śmierci danego konkretnego człowieka, to trzeba też logicznie stwierdzić – zgodnie zresztą z całym (nie tylko cytowanymi fragmentami) Pismem Świętym – że Chrystus wciąż przychodzi, a Jego paruzja trwa jeśli nie od momentu Jego zmartwychwstania²⁴, to z pewnością od chwili zesłania przez Niego Ducha Świętego na świat. Cała dotychczasowa nauka o tzw. sądzie szczegółowym (odbywającym się w śmierci lub tuż po śmierci człowieka – w zależności od tego, jak tę śmierć pojmowano) wisiałaby zresztą także w całkowitej próżni, gdyby nie było żadnego konkretnego Sędziego.

W formie swoistego przerywnika naszej teologicznej refleksji zacytuję tutaj pewne fragmenty wygłoszonego ponad 50 lat temu na Dolinie Miłosierdzia w Częstochowie kazania śp. ks. Stanisława Wierzbicy SAC, które zachowało się w wydanym w Kanadzie zbiorze *Rozważania o Miłosierdziu Bożym*²⁵, i chociaż nosi dosyć prosty tytuł: *Najświętsza Trójca Tajemnicą Miłosierdzia*²⁶, zawiera sporo dość oryginalnych i zasługujących na uwagę myśli. Po krótkim omówieniu opisanego obrazowo w *Księdze Rodzaju* (18, 20-33) swoistego sporu Abrahama, który stara się uratować Sodomę i Gomoreę przed czekającą je zagładą, z zagniewanym na nie Bogiem, autor dochodzi do wniosku, że „bardzo piękny i szlachetny jest urząd obrońcy”, natomiast „ciężki i niebezpieczeństw pełny jest urząd sędziego”, i dodaje:

Samemu świętemu, trójjedynemu Bogu, najwyższemu Sędziemu wszystkich ludzi, urząd sędziowski jest, jak się wydaje, przykry i uciążliwy. Gdy porównujemy ze sobą różne miejsca Pisma Świętego, które o sądzie traktują, i według ludzkiego sposobu je interpretujemy, uzyskujemy zawsze wrażenie, jakby Trzy Osoby Boskie pozostawały między Sobą w świętym

²³ Szerzej omawiają to zagadnienie: H. U. von Balthasar, *Sądy boskie w Apokalipsie*, *Communio* 7 (1987) 2, s. 13-19; Y. de Andia, *Dwie paruzje włóczęgi Przebitego*, tamże, s. 20-31; W. Kasper, *Nadzieja na ostateczne przyjście w chwale Jezusa Chrystusa*, tamże, s. 32-46; A. Andres, *Od „marana tha” do „dies irae” i od „dies irae” do „sine die”* tamże, s. 99-114.

²⁴ Taki pogląd wyraża m.in. ks. W. Hryniewicz w swych licznych publikacjach.

²⁵ Wyd. R. Hope, Toronto 1971.

²⁶ Tamże, s. 63-68.

sporze. Żadna z tych Trzech Osób nie chce przejąć tego przykrego urzędu, każda chętnie przekazuje go innej.

„Ojciec nikogo nie sądzi – tak mówi Ewangelia św. Jana (5, 22) – lecz przekazał wszystkim sąd Synowi” I to jest zrozumiałą rzeczą, On bowiem jest Stworzycielem wszystkich ludzi. A już o Nim prorok powiedział: „Nad wszystkim masz litość, bo wszystko w Twej mocy, i oczy zamykasz na grzechy ludzi, by się nawrócili. Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia, niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś, bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił” (Mdr 11, 24-25).

Lecz także Syn nie spieszy się obejmować taki nienawistny urząd. Przede wszystkim przesunął sądenie aż do końca świata, to znaczy do najostateczniejszych dni, a tymczasem szuka, jak uwolnić się od tego zupełnie. W *Ewangelii św. Jana* słyszymy Go, jakby ofertę Ojca chciał odeprzeć słowami: „Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat sądził i potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony” (J 3, 17). To jest, jakby chciał powiedzieć: „Jak, mój Ojczy, sądzić i uszczęśliwiać, czy to razem się zgadza? Ja, który tak wiele za ludzi cierpiałem i przelałem za nich moją krew, jam winien teraz me własne dzieło niszczyć i ludzi potępiać? Przekaż Mi zamiast tego urząd Obrońcy, bo to zgadza się z moim urzędem Zbawcy i toś Mi także przez proroka Izajasza przyrzekł, który o Mnie powiedział, że wielu usprawiedliwię i dla przestępców prawa Orędownikiem się stanę” (Iz 53, 11-12). Takim nagłym przedstawieniem nie mógł Ojciec się przeciwstawić i przychylił się do prośby Syna, jak nas przekonuje św. Paweł, który w *Liście do Hebrajczyków* pisze: „Lecz On – mianowicie Jezus, Syn Boga – ponieważ trwa na wieki, ma kapłaństwo nieprzemijające. Przeto i zbawiać na wieki może całkowicie tych, którzy przez Niego zbliżają się do Boga, bo zawsze żyje, aby się wstawiać za nimi” (Hbr 7, 24-25). Tak więc Syn Boga zamiast Sędzią jest ustanowiony przy tronie Boga naszym Obrońcą.

Lecz urząd sędziego? Kto przyjmie ten urząd sędziego? Pozostała jeszcze tylko trzecia Osoba Boska w Boskości wolna, a jest Nią Duch Święty. Tak, Duch Święty będzie musiał objąć urząd Sędziego, ponieważ On już od proroka Izajasza zapowiedziany został jako Duch Sądu (Iz 4, 4). Psalmista zaś wylicza widoczne znaki, które Ducha Świętego przy Jego przyjsciu oznaczają jako Sędziego: Bóg przyjdzie widoczny i nie będzie milczał; płomień płonąć będzie przed Jego obliczem, a wkoło Niego – gwałtowna burza. „Wzywa On z góry niebo i ziemię, by lud swój sądzić” (Ps 50, 3-4). Posługując się tymi prorocत्वami, także Zbawiciel mówił w swej mowie pożegnalnej o Duchu Świętym: „On zaś, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie” (J 16, 8).

Przekonywanie należy do urzędowej czynności sędziego. I Duch Święty w dniu Zesłania zstąpił rzeczywiście z niebios z ogniem i burzą, i – jak się wydaje – zaczął sądowym badaniem: przeniknął nerki i serca. – Lecz w jakim celu? – Najprawdopodobniej, by po pełnym troski badaniu

przystąpić do wyroku. O, nie! – by orędownać za nami! Za przykładem Syna poszedł i przejął zamiast urzędu sędziowskiego rolę Pośrednika. To wykazuje nam znów św. Paweł w *Liście do Rzymian*, gdzie pisze: „Podobnie także Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami” (Rz 8, 26). Jak mógłby inaczej? – On jest Ożywicielem i Uświęcicielem. Jak mógłby potępić tych, których uświęcił? – Tak więc z sądu znów nic nie zostało. Znowu miłosierdzie odniosło zwycięstwo nad sprawiedliwością.

Lecz komuż winno być sądenie przekazane? Nie ma czwartej Osoby Boskiej, a gdyby i była, na pewno poszłaby za przykładem innych Osób. (...) Mamy natomiast tak wielu ludzi, którzy nic chętniej nie robią, jak osądzają bliźnich. Dlaczego jednak Bóg trójjedyny żadnemu z nich nie przekazuje urzędu sędziowskiego? Ponieważ miłosierdzie wzbrania Mu tego dokonać. Jak postąpiłby z nami jeden z takich bliźnich, przedstawił nam to Boski Zbawiciel plastycznie w parabolicznej opowieści o nielitościwym słudze. Chociaż słudze temu darowano wszystkie winy, on jednak dusił i trząsł swego towarzysza pracy i krzyczał na niego: „Zapłać, coś winien!” – i wtrącił nie mogącego zapłacić do więzienia. Gdyby Bóg takiego sędziego dla nas ustanowił, z góry wiadomym byłby wyrok potępienia dla nas. W każdym razie mógłby mu Zbawiciel przekazać urząd prokuratorski, gdyż i z tym Bóg nie chce mieć nic wspólnego – według świadectwa św. Pawła, który w *Liście do Rzymian* pisze: „Któż może wystąpić z oskarżeniem przeciw tym, których Bóg wybrał? Czyż Bóg, który usprawiedliwia? Któż może wydać wyrok potępienia? Czy Chrystus Jezus, który poniósł za nas śmierć, co więcej – zmartwychwstał, siedzi po prawicy Boga i przyczynia się za nami?” (Rz 8, 33-34). Lecz do tego już się zgłosił ktoś, kto oskarżenie lepiej pojmuje niż ludzie, mianowicie szatan. On też rzeczywiście ten urząd otrzymał, lecz urząd ten czyni go u Boga jeszcze bardziej znienawidzonym, niż już jest. Po sądzie ostatecznym zostanie on za to razem z oskarżonymi i potępionymi wrzucony do najgłębszej czeluści. Wtedy uratowani – jak opisuje św. Jan w *Apokalipsie* – będą triumfująco śpiewać: „Teraz nastąpiło zbawienie, potęga i królowanie Boga naszego i władza Jego Pomazańca, bo oskarżyciel braci naszych został strącony, ten, co dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem naszym” (Ap 12, 10).

Lecz któż jest sędzią, który będzie badał oskarżenia, wyrokował winy i razem z oskarżycielem strącał winnych do piekieł? – Wyznajemy Go i rozpoznajemy w *Credo*, gdy mówimy: „wierzę w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych” – A więc jednak jedna z Osób Boskich, a mianowicie druga Osoba Boska, Syn Boży. Jak do tego doszło? On przecież tak stanowczo, tak zdecydowanie urząd sędziowski odrzucił? Uzasadnienie tego słyszymy od św. Jana, który pisze: Bóg Ojciec „przekazał Mu władzę wykonywania sądu, ponieważ jest Synem Człowieczym” (J 5, 27). Św. Paweł zaś wyjaśnia nam te słowa

w *Liście do Hebrajczyków*, gdzie pisze: On „musiał się upodobnić pod każdym względem do braci, aby stał się miłosiernym i wiernym arcykapłanem wobec Boga dla przebłagania za grzechy ludu. W czym bowiem sam cierpiał, będąc doświadczany, w tym może przyjść z pomocą tym, którzy są poddani próbom” (Hbr 2, 17-18). I dodajmy do tego: abyśmy mieli w Nim miłosiernego Sędziego. Z tej to przyczyny Syn Boży, który stał się człowiekiem, nie mógł odrzec się tego. Przyjął ciężki urząd sędziowski z miłosierdzia, by nas od surowego sędziego [szatana] uwolnić. Tak stało się prawdziwym to, co św. Jakub pisze w swym Liście: „miłosierdzie odnosi triumf nad sądem” (Jk 2, 13). (...)

Właściwy urząd sędziowski został przez Miłosierdzie przekazany najmiłosierniejszej z istot, Bogu-Człowiekowi, Jezusowi Chrystusowi, i tylko ci ludzie mogą z Nim bezkarnie urząd ten wykonywać, którzy są jak On miłosierni. Tego znowu uczy nas Zbawiciel w Ewangelii, gdy mówi: „Odmierzają wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie” (Łk 6, 38). Do wszystkich zaś niemiłosiernych woła Zbawiciel ostrzegawczo: „Nie sądzcie, a nie będziecie sądeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone” (Łk 6, 37).

Celowo przytoczyłem te wręcz dramatyczne wynurzenia kaznodziejskie ks. Wierzbicy, albowiem dostrzegam w nich jakby przedsmak znacznie późniejszej od nich, wspomnianej już wyżej i o wiele bardziej rozwiniętej myśli Hansa Ursa von Balthasara o dramacie i tragedii Boga²⁷. Ks. Wierzbica ograniczył się w swym kazaniu wyłącznie do sądu, ujmując go niejako profetycznie (albowiem wówczas oficjalnie o nim jeszcze nie mówiono) w aspekcie Bożego Miłosierdzia. Wyciągnął oczywiście ze swoich refleksji odpowiednie zalecenia i wnioski praktyczne, które tutaj pominąłem; chcę bowiem ponownie oddać głos wytrawnym teologom.

Pojawiają się mianowicie coraz częściej głosy bynajmniej nie wyssane z palca, ale będące wynikiem pogłębionej refleksji teologicznej, że w ostatecznym rozrachunku Sędzią będzie nawet nie Chrystus, lecz sam człowiek stający twarzą w twarz przed Jezusem umęczonym i uwielbionym zarazem²⁸. Według obowiązującej powszechnie nauki Kościoła, najbliższą i bezpośrednią normą moralności dla każdego człowieka jest jego sumienie. Z wielu wypowiedzi Soboru Watykańskiego II na temat sumienia ograniczę się tutaj do przytoczenia dwóch

²⁷ Zasadniczą słusność i teologiczną poprawność obrazowych wywodów ks. Wierzbicy można dostrzec, zestawiając je z takimi opracowaniami, jak: M. Gesteira, *Jezus ustanowiony przez Boga Sędzią żywych i umarłych* (*Dz 10, 42*), *Communio* 7 (1987) 2, s. 47-67; Th. Langan, *Sąd, który wyzwala*, tamże, s. 82-86; H. Hude, *Bóg mnie osądzi*, tamże, s. 115-127.

²⁸ Zob. m.in. H. U. von Balthasar, *Eschatologia w naszych czasach*, Kraków 2008, s. 94n.

zasadniczych, z których wynikają i z którymi ściśle się wiążą wszystkie pozostałe. Panoramiczną wizję sumienia Sobór podaje w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym (nr 16), gdy stwierdza:

„W głębi sumienia człowiek odkrywa prawo, którego sam sobie nie nakłada, lecz któremu winien być posłuszny i którego głos wzywający go zawsze tam, gdzie potrzeba, do miłowania i czynienia dobra a unikania zła, rozbrzmiewa w sercu nakazem: czyn to, tamtego unikaj. Człowiek bowiem ma w swym sercu wypisane przez Boga prawo, wobec którego posłuszeństwo stanowi o jego godności i według którego będzie sądzony. Sumienie jest najtajniejszym ośrodkiem i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa. Przez sumienie dziwnym sposobem staje się wiadome to prawo, które wypełnia się miłowaniem Boga i bliźniego. (...) Często jednak się zdarza, że sumienie błądzi na skutek niepokonalnej niewiedzy, ale nie traci przez to swojej godności. Nie można jednak tego powiedzieć w wypadku, gdy człowiek niewiele dba o poszukiwanie prawdy i dobra, a sumienie z nawyku do grzechu powoli ulega niemal zaślepieniu”

Natomiast na normatywny charakter głosu sumienia Sobór zwraca szczególną uwagę w Deklaracji o wolności religijnej (nr 3) słowami: „Nakazy Bożego prawa człowiek dostrzega i rozpoznaje za pośrednictwem swego sumienia, do którego jest obowiązany wiernie się stosować w całym swym postępowaniu, aby dotrzeć do swego celu – Boga. Nie wolno więc go zmuszać, aby postępował wbrew swemu sumieniu. Ale nie wolno mu też przeszkadzać w postępowaniu zgodnie z własnym sumieniem, zwłaszcza w dziedzinie religijnej” Oczywiście, wiele uwagi Sobór poświęca także właściwemu kształtowaniu sumienia i jego urabianiu, aby nie fałszowało ono kierowanego doń i rozbrzmiewającego w jego wnętrzu słowa Bożego. Sama możliwość, a nawet rzeczywistość zafalszowania sumienia nie przekreśla jednak w niczym jego funkcji normatywnej, z czego logicznie wynika, że to ono jest i zawsze będzie faktycznym sędzią każdego człowieka.

Równocześnie, w ślad za całą tradycją kościelną, Sobór Watykański II podkreśla z całą mocą wolność człowieka, stanowiącą wyraz i przejaw jego faktycznej godności, oraz zespała ją ściśle z faktem sądu ostatecznego. Ponieważ Bóg szanuje tę daną człowiekowi od zarania jego dziejów osobistą wolność i nigdy jej nie narusza, wypada mieć wciąż przed oczyma to, co na jej temat powiedział ostatni Sobór duszpasterski:

„Wolność prawdziwa zaś to szczególny znak obrazu Bożego w człowieku. Bóg bowiem zechciał człowieka pozostawić w ręku rady jego, żeby

Stworzyciela swego szukał z własnej ochoty i Jego się trzymając, dobrowolnie dochodził do pełnej i błogosławionej doskonałości. Tak więc godność człowieka wymaga, aby działał ze świadomego i wolnego wyboru, to znaczy osobowo, od wewnątrz poruszony i naprowadzony, a nie pod wpływem ślepego popędu wewnętrznego lub też zgola przymusu zewnętrznego. Taką zaś wolność zdobywa człowiek, gdy uwalnia się od wszelkiej niewoli namiętności, dąży do swego celu drogą wolnego wyboru dobra oraz zapewnia sobie skutecznie i pilnie odpowiednie pomoce. Wolność ludzka, zraniona grzechem, jedynie z pomocą łaski Bożej może to nastawienie ku Bogu uczynić w pełni skutecznym. A każdy będzie musiał zdać sprawę przed trybunałem Boga z własnego życia wedle tego, co czynił dobrze czy też źle” (KDK 17).

Wolność wiąże się więc ściśle z odpowiedzialnością człowieka za swoje czyny i wraz z sumieniem stanowi ostateczne kryterium sądu. Wynika z tego, jak zauważa nie bez racji L. Boros²⁹, że nie osiąga się życia wiecznego ani się go nie traci automatycznie, jakby jakąś siłą ciężenia, a więc tylko dlatego, że ktoś miał pobożnych rodziców; że od popełniania złych czynów, które chętnie by nawet popełniał, uchroniły go wyniesione z domu nawyki lub uprzedzenia; że miał szansę, jakiej setki tysięcy ludzi, może nawet lepszych od niego, nie mają, urodzić się i wyrosnąć w kraju, w którym rozwija się, a nawet kwitnie życie religijne i przy każdej niemal okazji mówi się coś niecoś o Bogu; że odziedziczył być może po przodkach miłe, życzliwe usposobienie, dzięki czemu doświadczył w życiu prawdziwej miłości i dlatego bez trudu uwierzył, że także Bóg go kocha – kto tego nie pojmuje, ten nie jest w stanie zrozumieć, czym jest prawdziwe, autentyczne przebóstwienie. Ale i na odwrót: nikt nie może zostać potępiony tylko dlatego, że „tak chciał przypadek”, na przykład dlatego, że w wyniku jakiegoś wypadku drogowego lub innego postradał nagle życie i został odwołany do wieczności; ani także dlatego, że urodził się w rodzinie skłóconej, rozbitej, pijackiej, w której nie zaznał nigdy miłości i wskutek tego, względnie innych podobnych okoliczności, nie był w stanie poznać tak naprawdę Boga, o którym ponadto często słyszał, że jest Bogiem prawa, a nawet tyranem dręczącym tylko ludzi; że był odpychany przez ludzi, którzy nie tylko go nie docenili, ale odwracali się od niego i zadali mu faktycznie wiele bólu, co sprawiło, że zbuntował się przeciwko wszystkim, nie wyłącza-

²⁹ L. Boros, *Mysterium mortis. Człowiek w obliczu ostatecznej decyzji*, tłum. B. Bialecki, Warszawa 1974, s. 110n; tenże, *Istnienie wyzwolone*, dz. cyt., s. 106n.

jąc Boga. Kto tego nie pojmuje, ten nie jest w stanie zrozumieć, czym jest i może być samo-potępienie.

Wynika z tego, że – wnioskuje dalej Boros³⁰ – Bóg nie jest małostkowy, ale naprawdę wielki, szanuje bowiem w pełni siebie, swoje wieczne decyzje, i człowieka, jego wolność i sumienie. Dlatego też nikt nie może osiągnąć pełni życia wiecznego „bez intymnego spotkania się z Chrystusem, bez ogarnięcia Go całą swoją istotą. To, gdzie się człowiek urodził, gdzie umarł, jaki odziedziczył charakter, nie gra przy tym żadnej [istotnej] roli”: każdy ma możliwość opowiedzieć się co najmniej w śmierci za lub przeciw Chrystusowi. Człowiek bowiem nie jest jakąś zabawką w rękę „małego i małostkowego” Boga. Takiego „Boga” po prostu nie ma! Nikt też nie może zostać wbrew sobie samemu i swemu sumieniu potępiony, odrzucony na wieki przez samego Boga. Wynika stąd – zdaniem cytowanego autora – logiczny, nieodparty wniosek, że każdy człowiek musi mieć możliwość przynajmniej raz w życiu, choćby to była nawet chwila jego śmierci cielesnej, spotkać się z Chrystusem zmartwychwstałym i osobiście Go poznać:

nawet poganie, owe miliardy ludzi, którzy nigdy jeszcze nic nie słyszeli o Chrystusie; nawet spoganieni chrześcijanie, którym w naszych kazaniach być może prezentowaliśmy Boga nudnego i obcego wobec rzeczywistości, którego nie mogli nauczyć się tak naprawdę kochać; nawet ci ludzie, którzy w sensie religijnym i moralnym zatrzymali się po prostu na poziomie małych dzieci, jakkolwiek ich pozostałe uzdolnienia rozwinęły się zupełnie normalnie i w skomplikowanej strukturze dzisiejszego życia umieją się rozeznaczyć i osiągać sukcesy; nawet ci ludzie, którzy Boga nienawidzą, ponieważ na przykład – uważają Go za środek „kapitalistycznego wyzysku” i nigdy nie przeniknęli Go w Jego właściwej istocie; nawet upośledzeni umysłowo i duchowo niedorozwinięci, którzy nie byli w stanie pojąć czegokolwiek w sposób właściwy; nawet nienarodzone i bez chrztu zmarłe dzieci³¹; i wreszcie nawet my, którzy jesteśmy za słabi, aby czynić dobrze, a których serce zionie takim chłodem i taką pustką. W perspektywie zaprezentowanej hipotezy – możliwość osiągnięcia zbawienia podczas w pełni osobowego spotkania z Chrystusem ma każdy.

Ponieważ Boros potraktował te sugestie jako „własną” hipotezę roboczą, która brzmi: „w śmierci otwiera się możliwość pierwszego w pełni osobowego aktu człowieka: tym samym jest ona bytowo uprzywilejowanym miejscem świadomego stawania się, wolności, spot-

³⁰ Tenże, *Istnienie wyzwolone*, dz. cyt., s. 107-108.

³¹ Problem ten, podjęty nie tak dawno przez Międzynarodową Komisję Teologiczną, starałem się omówić dosyć wnikliwie przed ponad trzydziestu laty w artykule *Teologiczne problemy chrztu dzieci*, *Studia Theologica Varsaviensia* 13 (1975) 1, s. 3-23.

kania z Bogiem i podjęcia decyzji o swoim wiecznym losie³², spotkała się ona siłą rzeczy z głosami krytyki. A tymczasem już Yves Congar mówił o niemal identycznej hipotezie wysuniętej w okresie międzywojennym przez dawnego rektora uniwersytetu katolickiego w Lyonie P. Glorieux³³, do której ówczesni teologowie odnieśli się także z pewną rezerwą³⁴. Szkoda więc, że Boros, który znał niewątpliwie tamtą pierwotną hipotezę³⁵, nie ukazał dokładnie, na czym polegają wniesione przez niego poprawki lub dopowiedzenia. Przyglądając się bowiem bliżej zarzutom wysuwanych pod adresem tej jego hipotezy, dochodzę do wniosku, że albo ktoś nie zrozumiał toku myśli autora, albo też czytał go wyrywkowo i krytykował jakby „na pamięć”. Boros przecież niczego nie przesądza, ale – biorąc pod uwagę ludzką wolność, którą Bóg uznaje i szanuje, oraz sumienie każdego człowieka, które jest jego najbliższym i codziennym sędzią – pragnie jedynie podkreślić, że nawet wszystkie, uwarunkowane zawsze jakimiś okolicznościami zewnętrznymi i wewnętrznymi, czyli prawie nigdy stuprocentowo wolne i świadome decyzje, zespolone w jedną całość, nie mogą, albo raczej: nie powinny, jako połowiczne i chwilowe, przesądzać o wieczności. Gdyż – jak zauważa nie bez racji³⁶ – „podczas naszego doczesnego życia dalecy jesteśmy od tego, co istotne, co właściwe. Rządzą nami ludzie, rzeczy, wydarzenia, nasze własne tęsknoty i marzenia. Wszystko to wypełnia naszą wewnętrzną i zewnętrzną przestrzeń, rozciąga swoją władzę nad człowiekiem. Owa wielkość rzeczy nie pozostawia w naszej świadomości prawie żadnego miejsca dla Boga”. I dlatego „człowiek, jeśli ma zdobyć niebo, musi choć raz posiadać tę możliwość, aby stanąć przed Bogiem i opowiedzieć się za Nim całą swoją istotą, w sposób niezależny i wolny, całą swoją w pełni ludzką rzeczywistością, sprowadzającą się jednocześnie do tego, co w jego bycie istotne. Jednakże, aby to mógł osiągnąć, pozbawić go trzeba wszystkiego, z czym związany jest każdym włóknem swej ziemskiej rzeczywistości. Wyzbyć się musi swoich spraw, siebie, swojej siły, nawet swoich przyjaciół, ludzi, których kocha, swoich nadziei i marzeń, wszystkiego, co w swoim życiu zbudował i zdobył. Raz opaść muszą wszystkie maski

L. Boros, *Mysterium mortis*, dz. cyt., s. 9.

³³ P. Glorieux, *Endurcissement final et grâces dernières*, Nouvelle Revue Théol. 59 (1932), 865-892.

³⁴ Por. Y. Congar, *Chrystus i zbawienie świata*, tłum. A. Turowiczowi, Kraków 1968, s. 254n.

³⁵ Por. L. Boros, *Mysterium mortis*, dz. cyt., s. 193.

³⁶ Tenże, *Istnienie wyzwolone*, dz. cyt., s. 104-105.

i skończyć się muszą wszystkie role, które człowiek odgrywa przed światem i sobą” A nie ulega przecież wątpliwości, że każdy z nas potrafi być w swym ziemskim życiu doskonałym, a nawet świętym aktorem! – „Tak więc pogrążając się w śmierci, uwolniony zostaje od wszystkiego, co przeszkadzało mu dotąd w spojrzeniu w oblicze Boga” i w głąb siebie samego. „Śmierć jest zatem wyzwoleniem ku właściwej wolności”

Niewłaściwie rozumiałoby się jednak Borosa, gdyby się skupiało wyłącznie na ostatecznym spotkaniu człowieka z Bogiem w śmierci, pomijając całkowicie jego życie doczesne. Boros bowiem mocno akcentuje potrzebę czujności, pracy nad sobą i bycia w prawdzie wobec siebie, Boga i innych. „Co i kto da nam pewność, że w śmierci zdołamy podjąć właściwą decyzję?” – pyta i odpowiada:

Wynik tej decyzji będzie zależał od nas samych. Szczerości naszego pragnienia nawrócenia się nie zmierzy nic innego, jak samo nawrócenie – w tym momencie (czyli tu i teraz). To, czym chcielibyśmy być w przyszłości, zapoczątkowane być musi w terażniejszości. Za pomocą licznych, małych, pojedynczych decyzji podejmowanych w ciągu naszego życia przygotować się musimy do owej wielkiej, ostatecznej decyzji w chwili śmierci. Życie jest „wprawianiem się w sąd”, który ma nadejść. Musimy się nawrócić, i to natychmiast, jeżeli szczerze pragniemy nawrócenia w śmierci. Każde odwleknięcie tej wstępnej decyzji jest egzystencjalnym kłamstwem. Po prostu nie możemy bezmyślnie „żyć z dnia na dzień” i wszystko odkładać do owej ostatecznej decyzji. Kto bowiem może zagwarantować, że na końcu uda się nam obalić całą dotychczasową orientację naszego życia? Tylko my sami! Myśl o ostatniej możliwości podjęcia decyzji w chwili śmierci posiada tę właściwość, jaka cechuje wszystkie wielkie idee chrześcijańskie: myśl ta uwalnia i zarazem żąda (zobowiązuje).

Autor kończy tę swoją refleksję bardzo doniosłymi teologicznie słowami: „Przedstawiona tu hipoteza pozwala nam pojmować «sąd szczegółowy» nie jako pewien dodatek do długiej listy «rzeczy ostatecznych», lecz jako wykładnik rozmiaru owej decyzji w chwili śmierci, jako ostatnie stanowcze postanowienie naszej istoty”³⁷

Mamy przed oczyma takie niezwykle biblijne wydarzenia, jak choćby powoływanie przez Boga proroków w Starym Testamencie, a Apostołów i św. Pawła w Nowym, kiedy to człowiek, olśniony jakimś przedziwnym światłem, jak Szaweł pod Damaszkiem, i widząc cieleśnie lub duchowo stojącego przed sobą Jezusa, sam całkowicie dobrowolnie

³⁷ Tamże, s. 108-109.

zmienia całe swoje dotychczasowe życie, aby iść Jego śladami. Mając świadomość, że wydarzenia takie powtarzają się często przez całe dzieje Kościoła³⁸, można by prawdopodobnie żywić nadzieję na to, że spotkanie Jezusa zmartwychwstałego, nawet jeżeli nie za życia ziemskiego, to przynajmniej w godzinie śmierci, olśni człowieka na tyle, że dostrzeże on wreszcie swoje dotychczasowe błędy i w końcu świadomie i całkowicie dobrowolnie, widząc jasno bezsens całej swojej dotychczasowej negacji Boga i wynikającej stąd własnej postawy życiowej, się nawróci. Słusznie jednak Boros mówi także o egzystencjalnym zakłamaniu, które jest, ściśle rzecz biorąc, ustawicznym zapożyczaniem się u szatana, gdyż – jak sam Jezus podkreśla z całą mocą – „od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa” (J 8, 44). A ponieważ Jezus Chrystus jest – jak to sam wielokrotnie akcentuje – Prawdą, i to samą Prawdą, Bożą Prawdą, oraz wymaga od swoich uczniów prawdy w całym ich życiu i postępowaniu, dlatego też między Nim a szatanem toczy się nieustanna walka na śmierć i życie, przy czym „władca tego świata” (J 12, 31) szermuje swoją jedyną bronią, jaką jest kłamstwo, na prawo i lewo, zalewając cały ten świat nie tyle potokiem, ile całą rzeką kłamstw wszelkiego rodzaju i pokroju. Skoro zaś jest „ojcem kłamstwa”, czyli jego pierwotnym właścicielem, to siłą rzeczy każde kłamstwo do niego należy, a ci, którzy kłamią, nie tylko oszukują samych siebie i innych, ale stają się dłużnikami szatana, który będzie się starał za wszelką cenę nie tylko utrzymać ich przy sobie, ale także wyciągnąć z nich maksimum korzyści dla siebie. Jasne staje się tym samym, że jakiegokolwiek egzystencjalne kłamstwo jest już samo w sobie bardzo niebezpieczne dla każdego, kto je popełnia lub w nie popada, albowiem wpada sam w sidła zastawione przez szatana, z których jedynie miłosierna Wszemoc Boga jest w stanie go wydobyć. I stąd tak niezmiernie ważna staje się nasza uczciwość życiowa, nasze ustawiczne bycie w Prawdzie wobec siebie i innych, bo tylko Prawda może nas wyzwolić (por. J 8, 32) ze świata nieprawości i grzechu oraz doprowadzić prostą drogą, nawet bez konieczności podejmowania jakiegóż końcowej decyzji, do pełni życia w Bogu, który jest samą Prawdą.

³⁸ Jednym z ostatnich takich głośnych „nawróceń” było duchowe przeżycie A. Frossarda, które opisał w książce *Spotkalem Boga*, Paris 1970, uznanej w swoim czasie za bestseller roku.

Niemniej w sytuacji typowej dla zakłamania panującego wciąż na tym świecie niezwykle ważna jest ustawiczna czujność, którą zalecał swym uczniom i naśladowcom sam Jezus, a w ślad za Nim św. Piotr Apostoł, kierując się w tym przypadku niewątpliwie także własnym, niezbyt chlubnym doświadczeniem, kiedy ich nawołuje i wyjaśnia zarazem: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć. Mocni w wierze przeciwstawcie się jemu” (1 P 5, 8-9). Nie mniej ważna jest również nasza modlitewna obecność zwłaszcza przy ciężko chorych, cierpiących i umierających – i to ważna nie tylko dla nich, ale także dla nas samych, albowiem wiele nas uczy i znacznie nas ubogaca³⁹ Jakże niesłychanie cenna okazuje się także w tym kontekście obecność w Kościele tych zgromadzeń zakonnych i osób, które koncentrują swe życie na wstawianiu się do Boga za chorymi i umierającymi oraz na otaczaniu ich swoją charytatywną (zwłaszcza hospicyjną) opieką, podtrzymywaniem na duchu i modlitewną pamięcią. I jakże ważna i prawdziwie bezcenna jest dla nas wszystkich niezwykle czuła i ustawiczna opieka Tej, którą nie bez racji nazywamy „Matką dobrej rady”, „Uzdrowieniem chorych”, „Ucieczką grzesznych”, „Pocieszycielką strapionych”, „Matką nieustającej pomocy” i „Matką Miłosierdzia”, błagając Ją często (dawniej po każdej „cichej” Mszy św.) słowami prastarej modlitwy kościelnej: „Do Ciebie wołamy, wygnańcy, synowie Ewy. Do Ciebie wzdychamy, jęcząc i płacząc na tym leż padole. Racz przeto, Orędowniczko nasza, miłosierne oczy Twoje zwrócić na nas i Jezusa, błogosławiony Owoc żywota Twojego po tym wygnaniu nam okaż łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo!” Równie starą i jeszcze częściej odmawianą modlitwą jest *Pod Twoją obronę...*, której ostatnie prośby można by także z powodzeniem odnieść do naszego spotkania z Jezusem w śmierci: „Z Synem swoim nas pojednaj, Synowi swojemu nas polecaj, swojemu Synowi nas oddawaj!”

Maryja jest jednak nie tylko naszą najlepszą Matką, Opiekunką, Patronką i Orędowniczką, co jest niewątpliwie szczególnie ważne zwłaszcza w godzinie naszego przechodzenia z tego świata do Domu Ojca. Jest również dla nas niedościgłym co prawda, lecz jak najbardziej konkretnym Wzorem: wzorem wsłuchiwania się w głos płynący do nas z Nieba i wiernego wypełniania woli Bożej, wzorem kroczenia przez

³⁹ Wiele uwagi poświęca tej kwestii w swej niewielkiej, ale bardzo cennej i praktycznej książeczce abp B. Pylak, *Życie zmienia się, ale nie kończy. U progu wieczności rozważania*, Lublin 2000, s. 37n.

całe życie drogą trudną, pełną przeszkód i bolesną, tą wąską drogą, która – jak zapewniał sam Jezus – wiedzie do królestwa niebieskiego; wzorem bardzo dyskretnego, niemal niedostrzegalnego towarzyszenia swemu Synowi aż po krzyż i w pełni świadomego przeżywania śmierci swego Boskiego Jedyńaka oraz kontynuowania po macierzyńsku Jego zbawczego dzieła – w Kościele. Tak się bowiem składa, że nie tylko czyny, o których mówił tak dobitnie L. Boros, ale również zaniedbania liczą się w naszym życiu: nie tylko ze swych dobrych lub złych czynów, ale również z zaniedbań będziemy przecież musieli rozliczyć się przed Bogiem. Każdy zaś człowiek, chociaż na ogół tego nie wie, albo przynajmniej nie wie dokładnie, ma jakąś misję, jakieś sobie tylko właściwe zadanie do spełnienia na tym świecie. Świadczą o tym wymownie wszyscy nasi święci, którym niekiedy bacznie się przyglądamy, traktując ich nie tylko jako naszych orędowników u Boga, ale i jako wzory do naśladowania. Świadczy o tym także i przede wszystkim Najświętsza Dziewica.

Dlaczego bowiem Maryja nie umarła razem ze swym Synem? Dlaczego po Jego odejściu do Ojca pozostała nadal na ziemi? Czy nie dlatego, by spełnić do końca zbawczą misję powierzoną Jej przez Boga? I chociaż Nowy Testament mówi nam o Niej niewiele, to jednak na tyle dużo, że można coś niecoś powiedzieć o Jej obecności i roli w Kościele pierwotnym. Przecież to wcale nie przypadek, że widzimy Maryję pośród Apostołów zgromadzonych w Wieczerniku na pierwszą poprzedzającą widzialne narodziny Kościoła Wielką Nowennę, podczas której – jak zaświadcza św. Łukasz – „wszyscy oni trwali jednomyślnie na modlitwie razem z niewiastami, Maryją, Matką Jezusa, i braćmi Jego” (Dz 1, 14), czekając na zstąpienie obiecanego im przez Jezusa Ducha Świętego, który umocnił ich w wierze, zespolił jak najściślej z Jezusem i nauczył – utrwalając w ich umysłach wszystkie wcześniejsze słowa Jezusa – „wszelkiej prawdy” (J 14, 26). Można też śmiało powiedzieć, że Maryja, napelniona już dwukrotnie: przy swym Niepokalanym Poczęciu i w Tajemnicy Wcielenia, Duchem Świętym, była w tym tak dostojnym gronie uczniów i miłośników Jezusa jakby Mistrzynią nowicjatu; a nie brakuje teologów, którzy są po prostu przekonani, że to Ona swoją fizyczną obecnością i żarliwą modlitwą „ściągnęła” na wszystkich obecnych niewidzialnego dla oczu ludzkich Ducha łaski i świętości.

Na tym wielkim wydarzeniu zbawczym nie kończy się jednak bynajmniej Jej olbrzymia rola w dziejach Kościoła. To Ona niewątpliwie stała się podstawowym źródłem informacji dla greckiego lekarza

św. Łukasza, który – jak sam stwierdza – postanowił „zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teofilu, byś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk, których ci udzielono” (Łk 1, 3-4). Od kogo bowiem mógł zaczerpnąć wiadomości o poczęciu, narodzinach i pierwszych latach ziemskiego życia Jezusa, które były całkowicie ukryte przed oczyma ludzkimi, jeśli nie od Maryi! Bez Niej nasza wiedza o Jezusie byłaby niepełna, nie mielibyśmy świąt Bożego Narodzenia ani wspaniałych kandydów Zachariasza i Maryi, a *Łukaszowa Ewangelia* byłaby tak okrojona jak Markowa. I chociaż sam Łukasz nie wspomina już o Maryi Matce Jezusa w dalszych swych relacjach zawartych w *Dziejach Apostolskich*, to przecież z podanych tam opisów dotyczących życia pierwszych chrześcijan możemy także wnioskować, jak wyglądało dalsze życie Matki Zbawiciela: jak uczestniczyła w codziennej nawet Eucharystii uobecniającej wciąż na nowo śmierć i zmartwychwstanie Jezusa do momentu, „aż przyjdzie”, jak łączyła swe życie z Jego Ofiarą i jak przyjmowała Tego, którego sama ongiś zrodziła, w Komunii św., jak się starała wypełnić swoją zbawczą misję do końca – niewątpliwie świadoma, podobnie jak św. Paweł, tego, że skoro żyje jeszcze na tym świecie, to ma wciąż coś ważnego do zrobienia i jest nadal do czegoś potrzebna.

Kiedyś przed laty urządziłem triduum przed uroczystością Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny dla pewnej grupy osób z wyższym wykształceniem, starając się w kolejnych homiliach rozważyć wspólnie z nimi ważniejsze wydarzenia z życia Maryi po śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jezusa. Refleksje te były dla słuchaczy prawdziwie nowatorskie; nie chcę jednak ich tutaj powtarzać, a to głównie ze względu na dominujący w nich pewien subiektywizm, spowodowany brakiem jakichkolwiek dostępnych mi w owym czasie opracowań. Sięgnę zatem do znakomitego, jak sądzę, dzieła J. Guittona (1901–1999) *Maryja*⁴⁰, w którym ten wybitny pisarz i filozof przedstawia na swój sposób ostatnie lata ziemskiego życia Maryi. Oto jego słowa:

Można powiedzieć, że po Wniebowstąpieniu Maryja już umarła. Lata, które Jej pozostały, były rzeczywiście tylko jakąś pozostałością, jakimś dodatkowym trwaniem, które nie należało już do Niej, a należało do innych. To samo uczucie, że się przeżyło samego siebie, można znaleźć u św. Pawła, gdy pisze do Filipian, że śmierć byłaby dla niego zyskiem, lecz mimo to pragnie pozostać w ciele, bo to potrzebniejsze dla nich.

⁴⁰ Tłum. J. Rybałt, Warszawa 1956.

Wyraża się tu uczucie podobne do uczucia żony, dla której wraz ze śmiercią męża wszystko się skończyło, a która mimo to pragnie żyć dla swych dzieci. Każdy z nas zna takie istoty, sprawiające wrażenie, że już przekroczyły ostateczną granicę życia, istoty, których uczynki nie wzbogacają już ich zasług o żaden brakujący składnik, a które jednak pozostają wśród nas – dla nas, nie dla siebie. – Oczekiwanie śmierci musiało więc być dla Maryi zupełnie czymś innym niż bywa dla nas. Analogii można by tu szukać chyba tylko wśród mistyków.

Skoro Maryja należała do potomstwa Adamowego, a więc podzielała naszą przedziwną niewiedzę o życiu pozagrobowym, to niewątpliwie, podobnie jak my, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda tamten świat. Wiedząc jednak, jaką była Jej postawa we wszystkich Jej oczekiwaniach, możemy przypuszczać, że nie usiłowała dociekać, co czeka Ją po śmierci. Zaskoczyło Ją już tyle zdarzeń przechodzących wszelkie przypuszczenia! Wszak obietnice anielskie nie dorównywały Boskiej rzeczywistości Słowa Wcielonego, a przepowiednia Symeona nie wyczerpywała całej prawdy o cierpieniach Męki. Wolno tedy sądzić, że teraz już nie uprzedzała niczego, lecz z całkowitym spokojem czekała, aż śmierć połączy Ją z Chrystusem. Być może, iż niektóre zdania z przemówienia Chrystusa po Ostatniej Wieczerzy, zapisane u św. Jana, zostały wypowiedziane z myślą o Niej, te zdania, gdzie Chrystus pociesza tych, co pozostają, mówiąc, że idzie, by przygotować im miejsce, lecz że zarazem jest już w nich obecny oraz że ci, którzy Go widzą, widzą także Ojca – jak gdyby chciał im podać te dwie prawdy sobie pokrewne: że pójdą do nieba i że już w nim są.

Maryja wiedziała więc, że Chrystus mieszka w Niej, a zarazem czekała na Jego przyście. Wspominała zapewne przypowieść o mądrych pannach i o chwili, która przyjdzie jak złodziej. Nikt nie zdoła starzeć się tak jak Ona. Chcę powiedzieć: starzeć się, młodziejąc coraz bardziej, idąc ku coraz większemu ukojeniu, bez żadnego uczucia niepewności. Żal za utraconym czasem dzieciństwa jest tylko symbolem głodu Boga, zaspokojonego przez podwójne posiadanie: tego, co w nas jest najczystsze, i tego, co w Nim jest najgłębsze. Pełnia nasycenia, jaką przyniesie życie wieczne, jawi się dorosłemu człowiekowi – w kategoriach ludzkiego czasu – pod postacią nieustannie odnawiającej się młodości. Maryja wiedziała, że oto znów przybije do wybrzeży dzieciństwa. I rzeczywiście, ilekroć będzie się w przyszłości ukazywała ludziom, objawi się przeważnie w postaci zupełnie młodzietkiej dziewczyny, gdyż jest to zapewne ta postać, która najwięcej potrafi ludziom powiedzieć o Niej, Młodzietkiej, wiecznie Nowej.

Maryja musiała z pewnością iść ku śmierci jak ku ognistej dojrzałości, ku uskrzydłonej pełni, „jak gdyby igrając” Musiała być wówczas doskonale piękna tą pięknnością, której nie są w stanie odtworzyć malarze przedstawiający Ją przeważnie jako młodą matkę z dzieckiem w ramionach, niezdolni jednak oddać twarzy sędziwej kobiety, twarzy znaczonej cierpieniem, a jednak weselnej, takiej twarzy, jaką na przeciąg kilku godzin

potrafi ukazać śmierć, kiedy w rysach matki o zamkniętych powiekach rzeźbi oblicze Dziewicy.

Wydaje się prawdopodobne, że Maryja schroniła się do Efezu, aby tu w spokoju dożyć kresu swych dni. (...) Gmina chrześcijańska w Efezie przechowywała zwój listu, który Paweł w czasie swego uwięzienia napisał do Kościołów w Azji. List ten dotyczył mistycznego Kościoła, którego Maryja była jak gdyby pierwszym obrazem. Zawierał on również słynne zdanie podnoszące małżeństwo do rangi Boskiej tajemnicy, ukazując je jako obraz zaślubin Chrystusa z Kościołem. Dla Maryi takie teksty zawierały znaczenie odnoszące się wyłącznie do Niej jednej. – W Efezie również zbliżał się ku starości apostoł Jan, otoczony gronem *Gnórimoi*, czyli uczniów-myślicieli, którym wykladał swą naukę i którzy zapewne – jak to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach – zmuszali go przez swą dociekliwość do jej pogłębiania. (...)

Pobożność chrześcijańska natchnęła kilka obrazów przedstawiających Komunię eucharystyczną Maryi z rąk Jana. Jest faktem, że *Ewangelia św. Jana*, w której samo ustanowienie Eucharystii nie zostało opisane, jest ze wszystkich Ewangelii najbardziej eucharystyczna, ponieważ cała teologia Eucharystii jest tu wyłożona w mowie Chrystusa nad rozmnożonym chlebem, a przemowa po Ostatniej Wieczerzy może być pojmowana jako dziękczynienie. Zresztą cała *Ewangelia św. Jana* tchnie przekonaniem, że niektóre symbole darzą „życiem” i „światłem”, a Wcielenie powtarza się nieustannie przez ożywianie ciała. Komunia Maryi kryje w sobie tajemnicę. Ciało i Krew Chrystusa uwielbionego, w których zwykły wierzący uczestniczy, stały w ścisłym związku z Jej własnym ciałem. Eucharystia przedstawia zatem zupełnie nową postać współobecności tych Dwójga, współobecności, która właśnie z powodu tej jedyności nie da się wyrazić.

Ten tak istotny dla nas fragment swych obszernych rozważań o Maryi Guitton kończy zdaniem dającym także wiele do myślenia: „Nie będę tu wspominał o śmierci Maryi, która wymyka się historii i jest nam znana w wyniku innego rodzaju dociekań”⁴¹ Czyżby Autor chciał przez to powiedzieć w ślad za św. Pawłem: „nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni” (1 Kor 15, 51), czy też raczej wolał – znając dobrze ówczesne debaty w tej kwestii – pominąć ten problem milczeniem, chociaż nie wahał się przecież mówić wprost o „śmierci”, a nie o „zaśnięciu” Dziewicy Maryi? Jak by nie było, Jej przejście z tego świata do wieczności nie mogło być z pewnością jakimś wstrząsem, tragedią, rozstaniem, albowiem wierni dobrze wiedzieli, że czeka na Nią Jej Syn umiłowany, który nie mógł nawet dopuścić do tego, by Jej ciało nieskalane uległo skażeniu w ziemskim grobie; gdyby

⁴¹ J. Guitton, *Maryja*, dz. cyt., s.74-76.

bowiem choćby jedna tylko Jej kosteczka została, Kościół miałby niesłychaną i jedyną w swoim rodzaju Relikwię, najcenniejszą ze wszystkich posiadanych. Skoro zaś jej nie było nigdy i nie ma, dlatego też m.in. Kościół głosi z całą mocą i najgłębszym przekonaniem prawdę o Jej cielesnym również Wniebowzięciu.